

- Gdzie tak leciecie, Nowakowa? - krzyknęła za biegnącą kobietą Rachela, która razem z córką rozwieszała na podwórku pranie.

- Wszystkie lata, to ja też. Coś się tu stało na Rynku. Tyle naroda podobno się zbiegło.

- Sara, leć no, też zobacz. Ja za ciebie skończę wieszać, już niedużo zostało.

- Zaczekaj mamę, bo znowu boli dastaniesz. Na chwilę poleć i zaraz wracam.

- Te parę portków, to dam radę. Leć już.

Wybiegając z bramy Sara o mało co nie wpadła na sąsiada, starego Żyda.

- Utopił się biedak! Utopił. Co za straszna śmierć. Niech lepiej panienka nie idą. Niech lepiej nie patrz. Straszna śmierć, straszna - lamentował, kiwając cały czas głową i szarpiąc swoją długą, szwą brodę.

Rachela usłyszała słowa sąsiada i podeszła bliżej.

- Sara! Czekaj - wstrzymała ją ręka. Kto się utopił? - spytała przejęta.

- Taki młody on. Ja nie znam tych młodych. Strażaki już jego wyciągli.

- Ale, co się tam stało?

- Chyba on szukał czegoś do jedzenia. Po śmietniku laził i wpadł do szamba - stary Żyd miał łzy w oczach.

- Pójdę mamę.

- Nie pójdziesz! Dobrze sąsiad radzą. Po co on ma ci się po nocach śnić.

- Rachela ponownie zwróciła się do staruszka i drżącym głosem zapytała.

- Ale mojego Dawida przecie znacie?

- Ty matko nie obawiaj się. Znam syna twojego. To nie on.

Tymczasem na podwórku pojawił się sąsiad z kamienicy obok.

- Niepotrzebnie chodziłem. Straszny widok. Taki młody chłopak. Podobno siedemnaście lat dopiero co skończył.

Leży tam jeszcze, ale już go przykryli. Policji pełno. Nie daj Boże nikomu takiej śmierci.

- A wy, nie wiecie, kto on? - Rachela zwróciła się w stronę mężczyzny.

- Jakis Kamiński, czy Kamiński. Mieszkał gdzieś tu, koło Żelowa podobno, ale od niedawna, bo dopiero co się sprowadzili.

Racheli już całkiem ulżyło, kiedy po raz drugi usłyszała, że to ktoś obcy. Zaraz też wstyd się jej zrobiło, że w ten sposób zaręgowala, a jednocześnie i żal chłopaka.

- Wszystkiemu winna bieda, pani Berkowic. Nie każdego stać dziś na chleb. Ciężkie czasy nastały - mężczyzna machnął ręką i odwrócił, mówiąc coś jeszcze do siebie.

- Tak ciężkie czasy - powtórzyła Rachela, patrząc na córkę. - Ale żeby tylko zdrowie było i rodzina - objęła Sarę i przytuliła - to z pomocą Bożą, jakoś to będzie.

Na szczęście pomoc nadeszła jednocześnie z dołu i z góry. Z dołu, od wojewody łódzkiego - przysłyły środki finansowe, które nowo wybrany wójt - Kazimierz Gół i Opieka Społeczna wydały najbardziej potrzebującym, a z góry, bo zadziwiała Siła Wyższa i zrobiło się w końcu ciepło. Słońce osuszyło pola i można było rozpocząć prace polowe. Po najtrudniejszym od wielu lat przednówku ludzie znów uwierzyli w przychyłość Bożą i w późne, ale obfite plony.

\*\*\*

Jak tylko minęły większe przymrozki zebrano murarzy chętnych do pomocy przy pracach wewnątrz kościoła, którzy, żeby nadszła na czas, pracowali do późna w nocy. Lokalny malarz artysta, absolwent Akademii Sztuk Pięknych, Zygmunt Grajner, namalował obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który zawieszony został w ołtarzu głównym. Wierni ufundowali też dzwony, w tym jeden pani Józefa Cramota, żelowska restauratorka. 10 maja podczas uroczystej Mszy Świętej dzwony konsekrowano.

Zawisły w pobudowanej rok wcześniej wieży kościelnej, aby po wsze czasy zwoływać do świątyni na Słowo Boże. Rozbrzmiewały na co dzień i od święta, także podczas uroczystości Bożego Ciała, niosąc szerokim echem radosne przesłanie dla wszystkich katolików z Zelowa i okolicznych wsi.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie” – niosły się słowa modlitwy wiernych.

Note: *Costa Rica* is not included in the analysis.*Historia i Stosunki Społeczne. Ołtarz przed budownictwem gmachu Żelazny*



## Konfirmacja

Dawid ukończył Szkołę Powszechną z wyróżnieniem. W nagrodę otrzymał piękne wydanie trylogii Henryka Sienkiewicza. Po powrocie do domu, wszedł najpierw do ojca.

– Zobacz tate – powiedział uszczęśliwiony.

Salomon obejrzał świadectwo i nagrodę.

– Jestem bardzo dumny z ciebie. Mądrość to wielka cnota, a wiedza jej pomocnica – wyciągnął rękę i pogratulował synowi.

Dawid pośpieszył do matki.

– Mama! Mama! – krzyczał już z daleka.

– Co się dzieje? – Rachela wystraszyła się nieco, ale kiedy zobaczyła ośmieszniętego syna, biegnącego w jej stronę zrozumiała, że to z radości.

– Leć i pochwal się kolegom – ucałowała go w czoło.

Chłopak zawrócił w miejscu i już go nie było.

Zenek siedział w cieniu przy piekarni ojca i karmił starego „Cukra”. Kiedy zobaczył biegnącego kolegę, krzyknął w jego stronę:

– Puli się, czy co?

– Zobacz, dostałem nagrodę – odpowiedział zdyszany chłopak.

– No, no. Zawsze wiedziałem, że najlepiej się uczysz. Też bym mógł w zeszłym roku dostać, tylko mi się nie chciało. A tak przy okazji, to ja i moi rodzice, zapraszamy cię na niedzielę na konfirmację, a po niej na obiad do domu. Mama robi pyszny rosół i kluski z duszoną marchewką i makiem. Frankowi już wczoraj mówiłem.

Zenka czekał przed konfirmacją dodatkowy sprawdzian, ale był on do niego starannie przygotowany. Podczas egzaminu pytania zadawał mu pastor Wilhelm Fibich, a chociaż były trudne, chłopiec nie miał większego problemu z odpowiedziami i zdał celując.

W kościele, który pobudowano w 1825 roku, zebrali się liczni członkowie zelowskiego zboru oraz zaproszeni goście, a wśród nich Frank i Dawid. Po nabożeństwie konfirmacyjnym wszyscy konfirmani otrzymali pamiątki w postaci dyplomów. Ustawili się też do wspólnego zdjęcia w przykościelnym ogrodzie. Pan Radosław Grajner – fotograf, dwoił się troiż, aby ustawić wszystkich w jak najlepszych pozach.



Prze kościół ewangelicko-reformacyjny. Pastor Wilhelm Fibich – 1916 r.

Przyjęcie u państwa Pejgów odbyło się w ogrodzie. Stoly ustawiono w cieniu starej lipy. Poirawy i wypieki czeskiej kuchni, z których słynęła gospodyni domu, były dla Dawida nowością. Smakowały mu bardzo. Szczególnie kłupačka z młodej kapusty ze sławkami i staroczeskie ciasto z marchwią.

– Ty! – Dawid szturchnął Franka w bok. – Co ci jest?

– Mnie? Nic – spieszył się chłopak.

– Przecież widzę, więc nie bujaj.

Frank tylko wzruszył ramionami, ale zarumieniał się nieco.

– Nie chcesz mówić, to nie.

Kolega podrapał się w głowę i wydukał:

– No, bo... no, bo... ładna jest ta Milena...

## Nauka zawodu

Pierwsze dni wakacji Dawid przeznaczył na wypoczynek. Odwiedził ciotki i kuzynów, którzy już w ubiegłym roku zamieszkali u Gliksmara. Szczególnie lubił starszego o dwa lata od siebie Berka i małego Abramka. Poszedł też na budowę do Franka i do piekarni – do Zenka. Pomagał w domu, ale najchętniej zamykał się na swoim stryżku, czytał książki i rozmyślał.

– Sara, leć córca do sklepu po jajka i mąkę, bo brakło – powiedziała Rachela, przeglądając kuchenną szafkę.

– A Dawid nie może? Tylko na tej górze siedzi i haki zbija.

– No, racja. Wołaj go. Ty mi później pomożesz. Zrobimy ciasto. Dawno nie było.

– Z rabarbarem?

– Z rabarbarem – uśmiechnęła się do córki. – Tylko też go musi kupić. Wołaj go.

Sara wyszła na korytarz i weszła na pierwsze stopnie schodów windających na strych.

– Dawid! Dawid! Mame cię woła.

Wołanie Sary wyrwało chłopca z miłego rozleniwienia. Zszedł powoli.

– Masz tu pieniądze, leć do sklepu. Kup mąkę, 10 jajek i rabarbar. Czekał! Idź do kaszarni, wiesz tej po drugiej stronie Rynku i kup 2 kg kaszy, u nich najtańiej.

W tym momencie do kuchni wszedł ojciec Dawida.

– Gdzie ty lećisz?

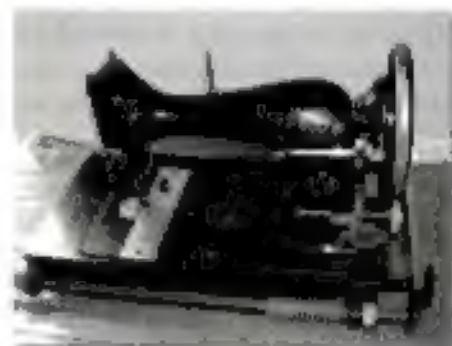
– Po zakupy go wysyłam – odpowiedziała Rachela.

– Jak wrócisz, wejdź do zakładu. Czas już zacząć przyuczać się do przyszłego zawodu, bo widzę, że tobie ostatnio się nudzi.

– Dobrze, tato. Wiedziałem, że kiedyś to powiesz.

Ojciec krok po kroku wprowadzał Dawida w arkana krawiectwa. Chłopak przykładał się do nauki, ale bez zbytniego entuzjazmu.

– Dobry będzie chajet z ciebie – pochwalil syna i położył rękę na jego ramieniu. – Najważniejsze, to dobrze zmierzyć i skroić. W tym cała jest sztuka. Jak już się ty nauczysz, to kupimy drugą maszynę i wtedy... – Salomon omoknął ustami. – I szyld zmienimy. Na „Salomon Berkowicz i syn”.



*Maszyna do szycia –  
„jedyna gwiazdka”  
rodziny Berkowiczów.*

Chłopak uśmiechnął się i spojrzał na ojca.

– To do spółki tato mnie weźmiesz? A ile ja będę zarabiał?

Tym razem uśmiechnął się Salomon.

– Dogadamy się, dogadamy – poklepał syna po ramieniu i podszedł do szeroko otwartych drzwi, przez które wchodziło poranne, letnie słońce.

– O! Twój kolega biegnie.

Franek wpadł do pomieszczenia, jak zwykle, jakby się paliło.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedział Salomon i żartując sobie z chłopaka uklonił się nisko. – Co Jaśnię Pana sprowadza w nasze skromne progi? Może garniturek trzeba uszyć, a może być, że płaszcz na zimę albo ciepłe gatki?

– Nie, dziękuję – Franek uśmiechnął się, widząc ojca kolegi w tak dobrym humorze. – Ja do Dawida, panie Berkowic.

– Tak też i myślałem. Pogadajcie sobie, a ja pójde do kuchni. Zobaczę, co tam moja Rachela dzisiaj na obiad zamieruje.



Franek usiadł obok kolegi.

– Słuchaj, Dawid. Jutro jęde do Hujen, do babci. Będe przy żniwach pomagat. No i na grzyby się skęczy. Ciocia dzisiaj z samego rana mamie przyniosła. Mówię ci, jakie czerwone koziary i prawdziwki – jak dęby. Jeden, to taki kapelusz miał... Jak nie przymierzając – talerz.

– Ze szkła? – spytał Dawid udając zdziwienie.

– O! Widzę, że cała rodzinka dzisiaj w dobrym humorze. No dobra. Pojedziesz z nami na dwa dni? Naszą ziemiankę odwiedzimy. Zenek już się zgodził.

Tuż przed letnimi Igrzyskami Olimpijskimi w Berlinie pan Szkudlarek zawołał syna do pokoju.

– Rozmawiałem z mamą i zgodziła się, że możemy kupić.

– Co? – spytał zdziwiony Franek.

– Jak to, co? Przecież chciałeś mieć radio.

– Będziemy mogli posłuchać Igrzysk! – chłopak rzucił się z radości ojcu na szyję.

– Właśnie. Dlatego już w poniedziałek pójdziemy do sklepu Perlicjusza i kupimy, ale Detefon, to zwykłe. Nie potrzebuje prądu tylko anteny, słuchawek i uziemienia do jakiegoś zakopanego metalowego windra czy innego metalowego przedmiotu i kosztuje tylko 39 zł, a nie jak lampowe – 160.

1 sierpnia Franek zakleił na uszy radiowe słuchawki. Z rozpalonymi policzkami słuchał głosu spikera, który dobitnym głosem relacjonował przebieg uroczystości otwarcia olimpiady:

„Po raz pierwszy znicz olimpijski zapalono od ognia z Greckiego Olimpu. Przeniesiony został w sztafecie złożonej z 3331 biegaczy. Szanowni słuchacze. Dzisiejsze otwarcie Igrzysk, jak i przebieg rywalizacji w poszczególnych konkurencjach można słuchać przez radio i po raz pierwszy obejrzeć w przekazie telewizyjnym”.

## Poród

Nadszedł czas rozwiązania. Rachela nie czuła się najlepiej. Całą noc nie spała. Bóle były coraz częstsze i coraz silniejsze. Siostry Racheli przyszły już rano i zaczęły przygotowania do porodu. Zasłoniły okno, nagrzały wody, naszykowały czyste ściereczki, pościel i prześcieradła. Estera zbliżyła usta do ucha Marty i wyszeptwała.

– Trzeba by posłuch po akuszerkę. Chyba nie jest tak, jak powinno. Spójrz na nią.

Rachela była blada. Miała potargane włosy. Trzymając się obiema rękami za brzuch z trudem oddychała. Marta wyszła i uzyskała od Salomona zgodę na wezwanie pomocy. Pobieglu po nią Sara.

Akuszerka mieszkała przy Rynku. Chwalili ją, bo znała się na rzeczy i dobrze się sprawiała. Pani Fryt, ale wszyscy mówili Frytka. Młoda, zwana kobieta o dość okazałej figurze rzuciła swoją robotę i natychmiast udała się do Berkowiców. Po drodze dokładnie wypytala dziewczynę, jak się sprawy mają i kiedy dotarła na miejsce od razu zajęła się rodzącą.

Zaczął się poród. Rachela szybko i łepczywie łapała powietrze. Co chwilę jej twarz wykrzywiła się pod wpływem bóli porodowych. Frytowa wcisnęła jej do ust kawałek szmatki.

– Trzymaj zębami i przyj! – wrzasnęła.

Rodząca spojrzała na nią błędnym wzrokiem.

– Przyj, mówię! Do cholery! Przyj! – nacisnęła kilkakrotnie na jej brzuch, jakby chciała wycisnąć dziecko z kobiety.

Rachela niemal mdlała z bólu i wysiłku. Wielokrotne próby trwały niemal godzinę. W końcu pojawiła się zakrwawiona główka dziecka, a po chwili reszta ciała. Akuszerka odcięła pępowinę. Dziecko złapało pierwszy oddech i zapłakało.

Salomon cały czas był z dziećmi w sąsiedniej izbie. Stali razem po środku mieszkania. Trzymali się za ręce. Ojciec głośno wyrażał słowa modlitwy, a dzieci powtarzały po nim.

Minęło już kilka godzin w strachu o zdrowie i życie kobiety i dziecka. Kiedy usłyszeli płacz noworodka, spojrzeli po sobie, ale modlitwy nie przerwali. W końcu Frytowa wyszła z izby i podeszła do Salomona.

– Masz córkę oznajmiła, ale żona jest bardzo chora. Straciła dużo krwi.

Salomon przyjął wiadomość z powagą.

– A cóż Frytowa na nią myśli?

– Myślę, że czas pokaże, ale trzeba by wezwać doktora.

– Frytowa niech przy niej zostanie. O zapłatę niech się nie martwi. Dam, ile trzeba. Po doktora sam muszę.

Nakazywał szybko łapotę i wyszedł.

– Możemy do mamy? – spytała Sara.

– Teraz śpi, ale wejść można.

Lampa naftowa wisząca przy suficie płonęła słabym płomieniem. W izbie panował półmrok. Rodzeństwo podeszło cicho najpierw do ciotki trzymającej na rękach śpiące niemowlę.

– Nasza mała siostrzyczka – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do dziecka.

– Jaka malutka – dodał ze zdziwieniem Dawid.

Potem zbliżyli się do matki. Usiedli przy łóżku. Sara zaczęła cicho płakać.

– Mamele! Mamele! – łkała.

Dawid delikatnie położył swoją rękę na ręce matki.

„Mame – myślał w duchu. – Moja mame... Ty będziesz zdrowa. Ty mnie znowu na obiad zawołasz... Ty, ty... Mame... Ja ciebie tak mocno Kocham... I potrzebuję, że...”

Myśli syna krążyły wokół matki. Gardło ścisnął głęboki żal i smutek tak wielki, że jemu także napłynęły łzy do oczu i zaczęły spływać po policzkach. Jeszcze kilka dni temu była zdrowa, wesół i dobrej myśli. Jeszcze kilka dni temu żartowali i zgadywali czy będzie brat, czy siostra? A mame mówiła: „Cóż Bóg da, tak będzie”.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Sara do Dawida chlipiąc i pocierając nosem. – Pani Frytowa. Dobrze będzie, prawda?

– Tak, tak – odpowiedziała niezbyt pewnie kobieta – czasem tak bywa.

A do siebie dodała pod nosem.

– Dużo krwi, za dużo.

Salomon poszedł prosto do doktora Łuczyńskiego. Chciał mieć pewność, że dzięki temu zapewni żonie najlepszą opiekę.

Doktor mieszkał w drewnianym domu, przy ul. Kościuszki 37. W małym korytarzyku czekało na wizytę dwóch pacjentów. W gabinecie był jeszcze jeden. Salomon kłaniał się nisko. Wyjaśniał czekającym powód swojej wizyty. Kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się, wszedł za ich zgodą do środka. Za biurkiem siedział elegancko ubrany mężczyzna w siłę wieku, z małym wąsikiem i krzaczastymi brwiami, które zdradzały jego gwałtowne usposobienie. W gruncie rzeczy był to jednak człowiek o gołębim sercu.

– Panie doktorze – zaczął, kłaniając się kilkakrotnie – Frytowa mówi, że źle z moją żoną, że doktor potrzebny – wyjaśnił, co się wydarzyło.

Lekarz przeprosił pacjentów, ubrał się i poszedł razem z Salomonem. Kiedy dotarli na miejsce, Rachela już nie żyła.

Salomon stał przed łóżkiem, jak posąg. Nie mógł uwierzyć, że Bóg odebrał mu żonę. Osobę, którą tak bardzo kochał, która była dla niego podporą, dobrą matką dla dzieci i dobrą gospodynią. „Kolejna świeca złamana na pół”<sup>10</sup> – myślał.

Stał długo i nie widział, nie słyszał, co się wokół niego dzieje. Tylko łzy płynęły mu po twarzy. Obecni w izbie, widząc to, wy-

<sup>10</sup> *Świeca złamana na pół* – żartowało – symbolizował symbol oznaczający kobietę. Złamanie na pół – symbol gwałtownej, niespodziewanej śmierci.



cofali się i wyszli. Czekali długo na Salomona, a kiedy wyszedł, Frytowa podała mu nowo narodzone dziecko.

– To twoja córka. Rachela dała za nią życie.

Mężczyzna wziął dziecko i trzymając przed sobą w wyciągniętych rękach przez dłuższą chwilę patrzył obojętnie na pomarszczoną jeszcze twarzyczkę śpiącego maleństwa. Różne myśli przychodziły mu do głowy, lecz po chwili przytulił ją i rzekł:

– Dzisiaj Szabus. Więc nadam tobie imię – pocałował dziecko w czelo. – Wyrośniesz na dobrą i piękną kobietę, jak twoja matka, a zwać cię będą Miriam.



*Doktor Włodzisław Łuczyński z żoną Marią.*

Zaraz po śmierci Racheli trzeba było pomyśleć o dziecku. Na szczęście w sąsiedztwie była niejedna żydowska kobieta, która

w tym czasie karmiła piersią. Sąsiadka Rajka, młoda żydówka, zgodziła się zostać mamką dziewczynki. Resztą zajęła się Sara, której w przysposobieniu do opieki nad Miriam pomogły ciotki.

Niezwłocznie też rozpoczęli przygotowania do pogrzebu. Zajął się tym Żydzi z Chewra Kadisza<sup>48</sup>. Zasłoniłi lustra i wylali wodę z naczyń. Umyli i ubrali zmarłą w składający się z sześciu części, białej, płócienny strój – tachrim. Zawinęli zeszywniałe ciało w prześcieradło i ułożyli nogami do przodu – na szerokiej desce, która obita wokół listwami tworzyła płytkie korytko z długimi rączkami, tzw. mary. Po rytualnych czynnościach Rachela przygotowana była do jej ostatniej drogi, która miała się odbyć jeszcze tego samego dnia.

Na dworze zebrali się załobnicy, aby towarzyszyć zmarłej. Wóz ciągnięty przez jednego konia już czekał. Złożyli na nim ciało i kondukt załobny ruszył ulicą Kilińskiego w kierunku cmentarza. Najpierw szli mężczyźni, później kobiety i dzieci. Z sąsiednich kamienic dołączali sąsiedzi i gapię. Szli powoli, zatrzymując się trzykrotnie. Szli w milczeniu, z wyjątkiem czterech kobiet, które jedną ręką trzymały się wozu, drugą machały i pocierały sobie po twarzy.

– Aj! Waj! Aj! Waj! Uuu!!! – głośno krzyczały i zawodziły.

Na pierwszych rozstajnych drogach kobiety rozeszły się na wszystkie strony. Część z nich bocznymi ulicami zmierzała w kierunku cmentarza, aby przez szpary w płocie obserwować dalszą część pochówku. Mężczyźni i rodzina szli dalej.

Zatowski kirkut otoczony był wysokim, drewnianym płotem i wejściem od ulicy Leśnej. Przy bramie była studnia do rytualnego obmycia. Większość cmentarza pokrywały zwykłe i mało-warte macewy<sup>49</sup>, ale były także ohele<sup>50</sup> wśród których wyróżniał

<sup>48</sup> Chewra Kadisza – bractwo pogrzebowe

<sup>49</sup> Macewa – żydowska, pionowa płyta nagrobna

<sup>50</sup> Ohele – niewielki żydowski grobowiec

się grób zmarłego dwa lata wcześniej zelowskiego fabrykanta – Jakuba Lewiego. Na wielu grobach leżały kamyki. Zgodnie z tradycją miały przypominać o dawnych czasach, kiedy to grzebano zmarłych na pustyni, a ciało okładano kamieniami w celu zabezpieczenia zwłok przed drapieżnikami. Wiele starszych macew, pochylających się już ku ziemi, zarosniętych było trawą i krzewami. Nikt i nie powinno zakłócać spokoju zmarłym, dlatego nie podnoszono ich i nie sprzątano na grobach.

Wóz zatrzymał się przed bramą. Mężczyźni wnieśli ciało zmarłej na żeńską część cmentarza i tak jak je przywieźli, zawinięte w całun, złożyli do głębokiego grobu. Ułożyli ją twarzą w kierunku świętego miasta Jeruzalem. Salomon odnowił kadiz<sup>11</sup>. Każdy z obecnych wrzucił do grobu, na pożegnanie, garść piachu i bez słowa odchodził. Teraz Rachel razem z innymi miała oczekiwać na dzień Sądu Ostatecznego. Dzień, w którym wszyscy zmarli powstaną na wezwanie Mesjasza.

### Pamiętnik

Życie toczyło się dalej. Raz przynosiło smutek i żal, a raz radość i wesele. Nadszedł czas Chanuki, święta ustanowionego dla upamiętnienia zwycięstwa Żydów nad najeźdźcami, którzy w II wieku p.n.e. napadli na świątynię w Jerozolimie, ograbili ją i nakazali kult bogów greckich. To radosne święto trwa osiem dni.

– Dziękujemy ci panie za to, że dałeś nam życie, zachowałeś nas i doprowadziłeś do dnia dzisiejszego – Salomon wymówił słowa modlitwy, zapalając pierwszą ze świec – szamasz, znajdującą się po środku chanukija – dziewięcioramiennego świecznika, a od niej drugą, na znak pierwszego dnia Chanuki i postawił

<sup>11</sup> Kadiz – modlitwa zażywania

świecznik na oknie, tak aby światło świec było widoczne przez wszystkie.

Dla rodziny Berkowiców było to pierwsze święto bez żony i matki. Czas przygnębienia i żalu po utraconej, ukochanej osobie. Jedyną radością i centrum zainteresowania domowników była teraz matka Miriam. Z pomocą ciotek i matki, Sara opiekowała się siostrzyczką. Przjęła wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem domu i opieką nad dzieckiem. Nie skurczyła się. Wykonywała nowe zadania z miłości i w poczuciu obowiązku wobec rodziny i zmarłej matki. Dziewczynka była zdrowa. Jadła i spała, spała i jadła, czasem tylko zapłakała miłym, cichym głoskiem, jakby chciała pozalić się całemu światu, że nie ma już tej, która nosiła ją pod sercem i której głos słyszała i rozpoznawała w czasie swojego krótkiego jeszcze życia.

Już ponad miesiąc upłynął od śmierci Racheli, jednak ból po jej stracie był ciągle żywy. Był to trudny okres w życiu całej rodziny, ale Dawid przeżywał stratę matki najboleśniej. Leżał na strychu na starym materacu. Patrzył na padający za oknem deszcz i rozmyślał.

„Życie trzeba dalej i wypełniać swoje obowiązki” – tak powiedział ojciec. Pewnie ma rację. Trzeba żyć, ale nie zapomnieć o mamie... Tylko, to takie trudne. Przecież tak bardzo ją kochał, jak nikogo innego na świecie... Jak ma chodzić do szkoły? Jak jeść, pić, spotykać się z kolegami, kiedy myśli tylko o tym, że już jej nie ma? On tak nie potrafi. Przecież to niemożliwe. Czy Sara i tata będą mogli tak żyć? Nie. Niemożliwe. A jednak ludzie wciąż umierają... Nie ma tygodnia, żeby Franek nie był na jednym, czy dwóch pogrzebach. Nie ma tygodnia, żeby nie jechał karawan od strony czeskiego kościoła. Nie ma tygodnia, żeby nie było słychać zawodzenia żydowskich płaczek... A żywi pozostają... Muszą pracować, zajmować się bliskimi. No, bo co by bez nich poczęła mała Miriam?



Kiedy zmarli jego dziadkowie, był jeszcze mały. Trochę ich pamięta. Dziadek naprawiał buty. Babcia krzątała się w kuchni i dawała mu mleko, a dziadek śmiał się, że ma białe wąsy. Tylko tyle. Niewiele. Czy o tym też kiedyś zapomni? Czy pamięć o nich zaginie? Przecież to jego przodkowie. Krew z krwi, kość z kości. W Biblii wszystko jest spisane, żeby następne pokolenia pamiętały... Czy o nim kiedyś zapomną? I o mamie?

W tej samej chwili, aż podskoczył na myśl, która wpadła mu do głowy.

– Nie pozwolę na to – powiedział do siebie głośno. – Będę wszystko spisywał. Napiszę pamiętnik. Napiszę o mamie, o tacie, o Sarze i małej Miriam, i o kolegach, i o szkole. Wszystko będę pisał. Ale najwięcej napiszę o mamie, żeby Miriam mogła kiedyś o niej przeczytać i poznać ją i pokochać, jak my ją kochaliśmy.

Był grudniowy, zimny wieczór. Dawid usiadł w zakładzie ojca przy „małej kozie”<sup>12</sup>. Wziął zeszyt, kalamarz, obsadkę ze stalówką i zaczął pisać.

*Pamiętnik Dawida Berkowica. Żelów, dnia 19 grudnia 1936 roku*

Urodziłem się 5 sierpnia 1921 roku w Szczercowie. Mój Tata nazywa się Salomon Berkowic. Moja zmarła Mama nazywała się Rachela Berkowic. Mam też Siostrę – Sarę, starszą ode mnie o cztery lata i młodszą – Miriam, którą ma dopiero 2 miesiące. W Żelowie mieszkam od 1933 roku. Kiedy się spaliliśmy i było bardzo ciężko, Tata powiedział, że musimy się gdzieś wyprowadzić i zacząć od nowa, no i wybrał tą czeską osadę, bo naszych też dużo tu mieszka.

Odkłóżył na chwilę przybór do pisania i zamyslił się.

Nie o to mi chodziło. Chciałem pisać o tym co myślę, a nie opisywać dzień po dniu, co się wydarzyło – starał się ułożyć sobie w głowie formę swojego pamiętnika. No, ale jakieś informacje też muszą być. Może kiedyś ktoś to przeczyta i co? I nie będzie wiedział, o kim mowa.

Ta myśl pokrzepiła go nieco. Wziął się ponownie do pracy.

*Niedawno umarła moja Mama. Bardzo ją kochałem. Wszyscy ją kochaliśmy. Umarła przy porodzie Miriam. Bardzo kocham moją Siostrzyczkę, ale dlaczego...? Czy takie są wyroki Baskie? Mogły żyć obie. Bóg zabiera nam to, co jest dla nas najdroższe, co najbardziej kochamy. Tata mówi, że On nas doświadcza. Pewnie ma rację, ale jesteśmy przez to nieszczęśliwi, a czy Bóg chce, żebyśmy byli nieszczęśliwi? Bardzo mi brakuje mojej Mamy. Była przy mnie zawsze, kiedy jej potrzebowałem. Każdego dnia. Tylko ja cugle gdzieś biegalem i nie miałem czasu, żeby z nią posiedzieć i porozmawiać. Teraz mogę do niej mówić tylko w myślach. Wierzę, że mnie słyszy, że czuwa nad nami. I na pewno chce, żebyśmy byli szczęśliwi i dawali sobie radę.*

*Tata mówi, że teraz jest źle, ale będzie lepiej. No, tak. Teraz tu już tylko dobre lata nas czekają, bo nieszczęścia podobno chadzą parami. W trzydziestym trzecim się spaliliśmy, a w trzydziestym sióstem zmarła Mama. To już koniec naszych nieszczęść.*

Dawid przeciągnął się i ziewnął. Spojrzał na ojca, który szyl jeszcze, ale spieszył się, żeby zdążyć, zanim elektrownia wyłączy prąd. Na ulicach światło paliło się do północy i oczywiście tylko tam, gdzie rozciągnięta była sieć elektryczna, a więc w centrum i na pobliskich, łączących się z nim ulicach. W domach można było korzystać z tego udogodnienia tylko przez kilka wieczornych godzin. Zbliżała się dziesiąta. Żarówka zaczęła mrugać. Znak, żeby przygotować lampy.

<sup>12</sup> „mała kosa” – gwarowo piecyk.

## Goniec

Po Nowym Roku zima rozgościła się na dobre. Najpierw przyszedł taki mróz, że pękały sztachety w płotach, a w sadach i parkach – gałęzie drzew. Zamknięto szkoły i odwołano lekcje na cały tydzień. Później przyszedł duży opady śniegu i wiatr, tak zimny i przenikliwy, że wleiskał się w każdą szczelinę, przewiał każde ubranie i wygiębiał, aż do kości.

– Ale dzisiaj zawieja. Zobacz, Sara. Psia pogoda – Dawid odsunął się, aby siostra mogła wyrzucić przez okno.

– No, pod lampą to dopiero widać, jak sypie. Zobacz, Miriam.

Sara nachyliła dziecko, które tuliła w ramionach, w kierunku szyby.

– Ona jeszcze nie rozumie, co to zima – rzekł Dawid głaskając maleństwo dłonią po policzku.

– To, co? Uczy się. Poznaje świat.

– No, tak. Zobacz, jak się przygląda – dodał zachwycony.

Przez dłuższy czas przyglądali się, jak drobny śnieżny pył gonił gdzieś przed siebie na skrzydłach wiatru. W dół, w górę, i zawracał, i wirował w jakimś delirycznym tańcu.

– A tate tak długo nie wraca – powiedziała Sara i odeszła od okna.

Położyła dziecko w kołysce.

– Martwisz się? Przecież poszedł do Gminy. Ma tam teraz tyle spraw. Dobrze, że tam chodzi. Ciężko mu bez naszej mamy.

Nagle drzwi otworzyły się.

– Nu, jestem. Zobaczcie, jak ja wyglądam.

– Tate! Ty wyglądasz, jak niedźwiedź z bieguna.

Salomon ściągnął kapotę i otrzepał ją ze śniegu.

– Wszystko zasypane. W bramie to takie zaspy są, że ja nie mogłem wejść. Jednak mam dobrą nowinę... ale najpierw zrób herbaty, córka.

– A jaka nowina? – zapytała Sara.

Ojciec zasiadł przy stole i położył na nim gazetę „Hajnt”<sup>53</sup>.

– Coś w dzienniku pisać? – spytał Dawid.

– Nie – ojciec uśmiechnął się tajemniczo. – Mam dla ciebie pracę.

– Dla mnie?

– Dla ciebie. Dobra praca, bardzo dobra. Sami mi zaproponowali. Byłem na spotkaniu naszej Rady. Dużo ważnych spraw omawialiśmy. Rędnie synagoga. Już wiadomo, kiedy ją zaczniemy budować i...

– Tate, ale co z tą pracą? – nie wytrzymał Dawid.

– Na, tak. Taka praca! – przyłożył palec do ust i cmoknął.

– Wszyscy wiedzą, że u nas teraz ciężko i że zostaliśmy sami.

A w Gminie, znaczy się nie w naszej Gminie tylko w żelowskiej Gminie, potrzebny jest goniec, no i... rozmawiałem już z wójtem i praca dla ciebie synu będzie. Możesz zacząć od poniedziałku.

– A co ja mam tam robić?

– Ty dowiesz się, jak pójdziesz. Goniec, to goniec. Taki chłopak na posyłki będziesz. Jak ciebie wyślą gdzieś z jakimś piśmem, to ty je zanieziesz. Na razie nie na cały etat ty będziesz, ale zawsze to już coś.

– To już nie będę się za krawca uczył?

– Na razie dam ja tobie z tym spokój. Widać Bóg ma inne zamiary wobec ciebie – uśmiechnął się ojciec.

20 lutego 1937 r.

*Skończyło się beztraskie i radosne dzieciństwo. Trochę szkoda, ale przecież każdy dorasta. Mężczyzna powinien pracować, założyć rodzinę i mieć dużo dzieci. Tak, jak to jest zapisane. Na założenie rodziny trochę za wcześnie, ale na nauczanie się czegoś i pomoc w domu, to jestem w odpowiednim wieku.*

<sup>53</sup> „Hajnt” – tłum. „Dziś”



Zostałem goncem w gminie Żelma. Trachę się obawiałem, że sobie nie poradzę, ale niepotrzebnie. Narzucił mi już pochwalili, że dobrze się spisuję. Miałem byłoby ze mną domu.

Moja matka nasirzyżka trachę chorowała. Nara nie spala ze trzy noce, ciągle ją nosiła, ale kiedy przysłała ciocia, która naparzyła jej rumianka i kupki i było lepiej.

Czasem widuję się z Zenkiem i Frankiem najczęściej wieczorami w piekarni u Zenka, bo tam ciepło. Frank robi teraz na warsztacie u ciotka, ale jak tylko minie zima, to znów pójdzie budować szkoły. Będzie duża i piękna, a nie taka, jak ta nasza.

### Purim<sup>14</sup>

Usternisty dzień miesiąca adar. Rozpoczęło się jedno z najbardziej radosnych żydowskich świąt – Purim. Upamiętnia ono uchronienie Narodu Żydowskiego przed zagładą ze strony najezdźców. W domu Herkowiczów przygotowywano się do wysiedla do bóżnicy.

Salomon wszedł do kuchni, świątecznie ubrany, w kapeluszu, białej koszuli, czarnych spodniach i długiej kapturze.

Jestecie wy już gotowi?

Tak, tato. Tylko jeszcze Miriam owinę brzoza dzinsaj. Odzie Dawid!

Do pracy poszedł.

Dzisiaj? – spytała zdziwiona Sara.

Nie dla wszystkich dzisiaj święto. Salomon uśmiechnął się z dezaprobatą i wyszedł pierwszy z mieszkania.

<sup>14</sup> Purim – dzień, który Żydzi przypisują do czasu uchronienia ich przed zagładą przez króla Achaszwerosa i krokwej Esterze oraz jej przybranych ojca Mordechaja i matkę siostrę Haman. Opisuje Biblija Księga Ester, którą zaraz odczytam. Ży i zawisły Haman skazał wszystkich Żydów na śmierć, ponieważ Mordechaj, nie chcąc mu się kłaniać. Wyznaczono datę zagłady poprzez ciągnięcie losów. Krokwa, która była córką narodu wybranego poprosiła swego męża o pomoc. Wynikiem decyzji króla, Haman i jego dziesięciu synów zostali skazani na śmierć.

Różnica wypełniona była po brzegi. Rabin stanął na bierze i zaczął mówić.

Przypomnę wam, narodzie semicki, jak co roku, sądzę się wzięło dzisiejsze święto, aby o nim pamiętać po ostatnie pokolenia. Historię o królu perskim Achaszwerosie i krokwej Esterze oraz jej przybranych ojcu Mordechaju i matce siostrę Haman opisuje Biblija Księga Ester, którą zaraz odczytam. Ży i zawisły Haman skazał wszystkich Żydów na śmierć, ponieważ Mordechaj, nie chcąc mu się kłaniać. Wyznaczono datę zagłady poprzez ciągnięcie losów. Krokwa, która była córką narodu wybranego poprosiła swego męża o pomoc. Wynikiem decyzji króla, Haman i jego dziesięciu synów zostali skazani na śmierć.

Po krótkim wstępie rabin rozpoczął modły i czytanie Świętej Księgi. Hebrajczy odczytał słowa „Haman”, zebrani w świątyni wierni hałasowali, mrucząc i szumiąc butami, aby zagłuszyć wy-mówienie imienia złego ministra.

Na zakończenie nabożeństwa rabin zwrócił wszystkim smaczne goście w gronie rodziny oraz przypomniał o zbliżającym się święcie Pesach<sup>15</sup>.

Dawid był już w domu, gdzie czekał świąteczny posiłek przygotowany wcześniej przez Sarę. Ryby i skrodkie bułeczki z mięsem w kształcie trojkątów – i szary Haman – są w tym dniu, zgodnie z tradycją, jego podstawą. Okazją, która poje się alkohol i to tyle, aby nie rozróżnić wznoszonych okrzyków.

Niech będzie błogosławiony Mordechaj, Niech będzie przeklęty Haman<sup>16</sup>.

Po południu rozpoczął się żydowski karnawał. Świętujący Purim przebiegają się w różne kostiumy i maski. Mężczyźni łańczę i śpiewają, chodzą po domach przedstawiając historię, która

<sup>15</sup> Pesach – Święto Paschy. Przypomina uchronienie Żydów przed zagładą przez króla Achaszwerosa i krokwej Esterze oraz jej przybranych ojca Mordechaja i matkę siostrę Haman.

wydarzyło się ponad dwa tysiące lat wcześniej. Obyczaj nakazuje spierać w tym dniu dobrze uczynk – obdarowywać ubogie osoby czymś do jedzenia. Dawid i Sara także zapakowali do koszyka miacę, ciastka, święteczne chlebki aby rozdać je potrzebującym.

6 kwietnia 1937 r. H. Jurek

1-2 wart jest naród bez znajomości swojej historii, korzeni, warty przodków? Jest jak biała ściana, niezabita kartka

[illegible]

**W nowej pracy**

Dziś polubił swoją pracę a kiedy na własne dostał służbowy rower był już całkiem szczęśliwy. Jeździł w różne zakątki gminy. Przewoził korespondencję do zakładów pracy i osób prywatnych.

Dawid krzyknął urzędowy biurowista. Pierwo do pana Koska. Drugie do jego legjoni zawieziesz do majstra Narwi- sko musi na kimbordzie.

**Video** *child praying, speaking, reciting: Aiding in Growth Study*



the common *Leishna pectoratorum* *Pictaria* *hirsuta* (L.) *NA* m  
the *hirsuta* *hirsuta* *hirsuta*

Wielki Lewi Ksątko znajdował się przy ulicy Cegielni-  
skiej, za cementarnią katolicką. Należał do pracowników

W procesie wytwarzania cegieł sprawował Włodzisław  
Kozłowski. Szczęśliwie wypalanie cegieł właśnie się rozpoczynało, pnie-  
nie powietrza naciągnięte i uformowane jest i widać, że cegły dobrze  
się palą pod wiatr, układane i wykładano do wypalania  
wielkość do pieca jedyną, a wyjeżdżały jako gotowy wyrób.

...brwa. Jureczek też. Nagle spostrzegł kuzynów Franka. Złoty i ciemny przy rozkładających wózek z cegłami kumpli od coko-

14. *Pratunskij sovjet*

(1) *Caré.* Dawad. Co tu robisz? Karol odłożył cegły z powrotem na wózek.





Copyright © 2004 John Wiley & Sons, Inc. All rights reserved.

### Plano aziendale riservato

— Ano tu się pracuje – odpowiedział Mateusz i usiadł na pochy-  
łym kamieniu.

Ciepło jest ale przynajmniej uczucie płaci. Nie tak, jak u Kopla. Tracę z niego robótstwu, ale między jest z niego uczucie. Ludzi, nie ubezpiecza, nie płaci w terminie albo w ogóle. Że niby to na przyczucie w zawodzie bierze, a później kopa w dupę do walczaka. Robi mowy też w furkarni u Kłapiaka, przez miesiąc w cegielni u Frezwolta u Wygonowicza w fabryce, ale wszędzie praca tylko dorwacza. Mateusz machnął ręką. Zruszaj, gdzie tu jaką robotę znajdziesz? Niejedne podeszwy ze drzew można przyjąć szukaniu. Tu porobimy przez lato i do Rajcherta pojedziemy. Po prostu przyjdzie bo nakupi nowych kreśli mechanicznych, angielskich. Teraz tam takie hale, że

<sup>11</sup> *Wiederholte Untersuchungen* (Repetitive Investigations).



4. *Journal of the American Statistical Association* 1943

$$\text{Pr}(\Delta \leq t) = \int_0^t f(x) dx$$
[illegible]

jeszcze inni – nie nie mówią, siedzą cicho i są coraz bogatsi. Je-  
żeli są uczciwi i własną pracą na to zapracowali, to dobrze. Ale  
czy są tacy wśród tych osadników?

Mówi, Iste jest Żydem. Jest uczciwym, dobrym człowiekiem  
wszystko to mówią, ale niektórzy Żydzi nie są uczciwi – tak jak na-  
kazuje. Polacy, Niemcy, czy i Żydzi. Dlaczego ludzie są nieuczciwi?  
Może gdyby, każdy miał to samo, byłoby inaczej?

I mają szli ludzie z białymi i czerwonymi sznurkami. Wzięli  
z bramy przy kościełkach. Obechali Rynek kilka razy. Krzyczeli, że  
chcą pracy i chleba, że chcą, żeby wszyscy byli tak samo bogaci  
żeby mieli wszystkiego po równo. Czy to możliwe? Kiedyś dostali-  
śmy z Sarą po takiej samej tabliczce czekolady. Wtedy, kiedy  
siostra nie patrzyła, zjadłem tę, kawałek. Smakowała lepiej. I tu  
by była słodka.

## Pożary

Była ciepła, czerwcową noc. / powodu zachmurzonego nieba  
było bardzo ciemno. Tylko od czasu do czasu na horyzoncie nie-  
bo jasnialo, świadcząc o nadciągającej burzy. Tuż po północy  
wybiegła strażackiej syreny przerwało sen mieszkańcom osady.

Pał się. Pał się – z początku ciche pojedyncze głosy, wkrótce  
przerodziły się w okrzyk wielu obudzonych ludzi. Wyglądali  
przez okna, wychodzili z na ulicę. Szymon wziął karbidówkę  
i wyszedł na Rynek. Za nim Dawid i Sara, która tuliła w ramio-  
nach wybite ze snu, płaczące dziecko. W oddali, nad dachami  
domów, z minuty na minutę czerwieniało niebo.

Tam – Tam. Patrzy! Na Piotrkowskiej się pali! – krzyczała  
kobieta stojąca naprzeciw, Berkowiczów.

I tam też – mężczyzna stojący nieco dalej wskazał w kie-  
runku Żeromskiego.

Z garażu strażnicy Ochotniczej Straży Ogniowej, spod nr 10  
przy Ryнку, wyjechał samochód strażacki. Na nim strażacy – na  
czole z naczelnikiem Zygmunt Wesołkim. Drabina sikawka.

Woda z wodą i ręczna pompa do jej pompowania – wszystko  
już przygotowane.

Ci się pali? Gdzie się pali? – wołano z tłumu.

Stoją na Piotrkowskiej – odpowiadał koniusz z gapiów  
północ strażaków.

Podobnie niejedną – dodał w biegu drugi.

Wiele pożarów? Specjalnie podpał – stwierdził młody męż-  
czyzna.

Żeby tylko na domy się nie przeniosło – przeczgnęła się  
kobieta w chustce na głowie. A zaraz po niej wielu z zebranych.

Tęszo przeczgnął dźwięku, ciągle wyjącej syreny i przy  
dźwięku strażackiego dzwonka oddział wyruszył do akcji.

Ktoś podpał – powiedział Franek, który znalazł się nagle  
kobieta Dawida.

Skąd wiecie?

Iste mówi, że o „fajer kase” chodzi.

A skąd taś wie?



1. Wesołki strażackie





Od lewej: na chodzie Zygmunt Wysocki, komendant Bolesław Friszewski, jeden z uczestników strajku w Żelazie, żołnierze w mundurach wojskowych, Żelazni Włochakowie, Prusowie, kapelmistrz, Lech i jego żona, Michał i jego żona, jeden z uczestników strajku, żołnierze komendant pułku, i kochanka.

Nie – nie wie na pewno, ale jak się spał i nie znalazł winnego, a być ubezpieczając to dostaną odszkodowanie. Patrz tam też się czerwona łuna robi – krzyknął, wskazując kolejne miejsca na widnokręgu.

„Noc pożarów” – Jługo tak ludzie mówili o tym zdarzeniu i prężni szukali winnych. Na szczęście ogień nie rozprzestrzenił się na sąsiednie zabudowania. Deszcz, który wkrótce zaczął padać, pomógł strażakom i uchronił mieszkańców Żelowa przed katastrofą. Rodzina Berkowiczów nie zasnęła już tej nocy. Wrociły straszne wspomnienia sprzed kilku lat.



W lewej części: Żelowski, służba wojskowa, przedstawiciel Strajku, żołnierze, Polacy, wójt Polaków, kapelmistrz, Włochakowie, Prusowie, żołnierze, Włochak Polakowski, żołnierze, Włochakowie, żołnierze.

\*\*\*

Następny dzień. Słońce dopiero wstawało, jego jasne promienie, mieszkańcy zaczęły zagadac przez otwarte okna, jakby opowiadały, kto spał jeszcze w tak piękny letni poranek. Dawid wstał, na równe nogi. Czas do pracy. Ubrał się szybko i po kilku minutach jechał już swoim służbowym rowerem.

Dzień dobry, panie Józefie!  
Jedną przed nim na rowerze mężczyźni nie awansują!  
Panie Krolczak! krzyknął Dawid. Dzień dobry!  
Rowerzysta odwrócił się i zwrócił. Jechali teraz obok siebie.  
A dzień dobry, dzień dobry. Weźmie dzisiaj zaczynać.  
Wczoraj nie dostarczyłem pisma, bo nikogo w domu nie było.  
Jeszcze ważne pisanie, tyle pieczęć i „do tak własnych”  
napisać. Chcę jeszcze przed pracą zdążyć.

Pan Króliczak poprawił na ramieniu swoją wypchaną po bezęgi listami i gazetami torbę.

Ty masz jedno pismo. Zobacz, ile ja mam dzisiaj – wskazał zawartość torby.

Chyba do wieczora pan nie rozwiąże. Może pomożę?

Dziękuję, nie nie wolno. Jestem za to odpowiedzialny. Taką mam pracę. Do widzenia chłopcze – skrzęcił w boczną ulicę i odjechał.

Po wykonaniu zadania, Dawid wstąpił w drodze powrotnej do sklepu w Ryńku, do Jakuba Lipkowicza, po pieczywo.

Shalom Alejchem.

Żyd stojący za ladą uklonił się nisko kilka razy. Chłopak cozejrzał się po półkach.

– Ładnie pachnie.

Wszystko świeży, chrupiący towar – podła odpowiedź. Świeże jeszcze ciepłe bułeczki – wyszczerzył zęby w szczerym uśmiechu. – Kup. Zrób mi dobry początek.

To proszę, jak zwykle, dwie bułki.

Żyd odebrał zapłatę i splunął w dół.

Ohy, Bóg obdarzył cię licznym poturstwem – powiedział, chowając pieczywo do małej kaseiki. Oj! Oj! umiał nagle ręce. Słyszuleś Dawid, co się to wczoraj stało? Oj! Oj! Tragedia. Wielkie nieszczęście. Córka Kosteckiego się otrula. Nie pozwól jej się za syna Kościł<sup>1</sup> wydać. Że niby on groszem nie śmierdzi. Z biedne rodziny jest. No i teraz one zamiast wesela, pogrzeb mają. Oj! Oj! Na miłość nie nie poradziś, nie da się jej zahębać, co by ona w głowach i w sercu młodym nie mieszała. Tragedia!

Żyd trzymał się obiema rękami za głowę i kiwał rytmicznie w przód i w tył, jak do modłów.

Dawid także chwycił się za głowę.

<sup>1</sup> Kościł – wyrażenie ironiczne.

Znałem ją! Ona w wieku mojej siostry. Razem do szkoły chodziły. To Sarcie będzie płakać, jak się dowie. To będzie plakać.

2 września 1937

Miriam cały czas płacze. Rosną jej rąbki. Sąsiadka poradziła, żeby zwinąć w szmatkę trochę maku i dać jej do smania. Sara tak robiła. Miriam w końcu zasnęła. Siostra ma teraz dużo pracy. Ona stara się jak może. Pomagam jej, ale niech ona nie myśli o sobie. A nie wszystkim może mi rzęzić. To zrob, tamto zrob, to ci widnie, a tego nie. Nie jest moją Mamą.

Jecham wczoraj zobaczyć, jak utworzą nową szkołę. Ohy, młodyci, ostry Franka będą tam teraz chodzić. Publiczna Szkoła I i II stopnia III stopnia. Jedynka, tak teraz będzie się nazywała. Ma nas, imię Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Nowym kierownikiem po panu Ławeckim, został pan Włodek imier, i zadowolę. Szybko ją zbudowali. Tute Franka dostał mieszkanie i jej budowę. Jest naprawdę wielka i ma aż piętnaście sal. A nanki o wszystkie pomieszczenia jeszcze trochę poczeka. Po prostu była na jej budowę dużo lat, kiej pracy i dużo pieniędzy.

Widzieliśmy dostojnych gości. Wuj Kazimierz (ci powiedział, że ci nie mówię) przyjechał, że powstała dzięki pomocy wielu instytucji i osób prywatnych. Tute mówi, że takie zrwy społeczeństwa są dobre, to są dużą ogólnemu dobru, ale niestety czasem idzie to na ich szkodę. Nie wiem czy dobrze rozumiem, o co mu chodzi. On nie chce, żeby ktoś coś powie, da jakieś hasło i na porządku poprowadzi kilka osób, później ci, którym było wszystko jedno, a wkrótce nawet ci, którzy byli przeciwnego zdania.

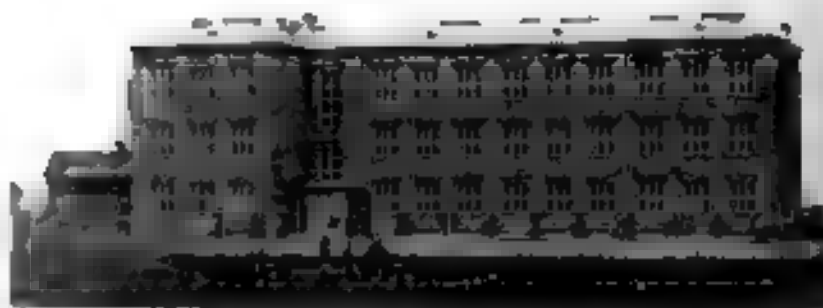
Oni angie gdzieś wychodzi, i upde coś załatwia dla naszej organizacji. Po niego też przewożą, zwłaszcza pan Salt. Stedzą do niego i rozmawiają o różnych sprawach. Najczęściej o polityce. Oni nie chcą, ale słyszą. Mówią z oburzeniem o tym, jak jest na świecie i co przysłać przyniesie.



Widok na Szkołę nr 1 w Żelazcu - wzniesiona 1907 r. Właścicielka budynku - Róża  
Kobylka - po lewej, w centrum - Władysław, a po prawej -



Szkoła nr 1 w Żelazcu - widok na stronę targowiskową (ul. Włocławska)



Szkoła nr 1 w Żelazcu - 1907 r. Widok od ul. Kufarskiej

\*\*\*

1907 - 1908

Mama miała Siostryczkę zrobiła dzisiaj pierwsze kroki i mówiła mi: Mama! Słuchaj się dla mnie umiemy, pokazując swoje, a ja jej: Mama! Mama na pewno by się na to ucieszyła, ale ona była już w grobie leży. Byliśmy dzisiaj wszyscy odwiedzić jej kirkucie. Położyliśmy kamień na jej grobie na znak, że u niej jesteśmy. Mama już dawno żyła. Tę kirkut widzę na niej, a na niej: symbol imienia Rachela oznaczającego pokarmie. W kirkucie i troskę i drugi: złomiony na pol święty. I on powiedział: że bez kobiety mężczyzna jest tylko pusty.

\*\*\*



## U Rajcherta

Zbuzwały się chłody. Praca w ceglarnach powoli się kończyła. Formowane z gliny cegły czekały w suszarniach do przyszłego roku. Tegocenna wypalona, a niesprzedana cegła, pokładana w stosy, leżała pod wiatarami. Sezonowi robotnicy stracili pracę i trzeba było szukać jej gdzieś indziej.

No, wehndź. Mateusz popchnął Karola w kierunku wejścia do dyżurki, przed fabryką Rajcherta w Herbertowie.

Paniowie do kogo? – spytała kobieta, która zastąpiła im drogę.

– My, roboty szukamy.

Jazcie tu na prawo – zapytała, ale pewnie nie z tego, bo roboty u niej nie ma. Był czas, że była i ludzi było potrzeba, ale teraz na zimę, to nie ma. Ludzie przechodzą i pytają, ale z kwitkiem odchodzą. No ale pytajcie, pytajcie. Tedy – wskazała ręką kierunek. – A na fabrykę nie wolno – dodała.

Młodzi mężczyźni weszli do biura, kłaniając się już od progu.

My w sprawie pracy. Chcielibyśmy z właścicielem rozmawiać.

Musicie poczekać – starszy mężczyzna wskazał im krzesła pod ścianą – właściciel jest na zakładzie.

Wkrótce usłyszeli podniesione głosy zbuzających się ludzi.

– Trzeba koniecznie coś zrobić, panie Rajchert.

A za co ja wam płacę, panie kosciały? Trzech was jest kierowników. Macie się tym zająć i spokój ma być. Ja mam wszystkiego doglądać? Produkcja musi iść. Najlepszy czas teraz. Zbyt jest.

Ano, na lepszy – odpowiedział kierownik. For dlatego chcą podwyżek. Dużo roboty, to najlepszy czas do przetrwania pracy i protestów.

ch strajków mam już powyżej uszu – odpowiedział zdenerwowany fabrykant, a zmieniając temat, dodał: Jak tylko przy-

wieź z Hreslau<sup>10</sup> nowe barwniki do poszlakowego, to je wypróbujcie.

Mężczyźni przeszli obok chłopców, jakby ich nie widzieli, weszli do gabinetu. Skład półmiej dobiegały odgłosy dalszej, częściowo bezcelowej rozmowy. W końcu kierownik wyszedł, a po chwili także właściciel.

Panie Staszku. Proszę to sprawdzić – Rajchert podał pracownikowi kartkę zapisanego papieru.

Co, twój do pana – urzędnik wskazał oczekujących chłopców. Słucham.

Szukamy pracy – nieśmiało wydusił z siebie Mateusz.

W jakim charakterze? No, co umiecie?

My wszystko możemy robić – odpowiedział Karol.

Na razie pracy nie ma. Przyjdźcie na wiosnę. Będę powiększał fabrykę, będą nowe krosna, będzie robota.

Chłopcy wyszli ze spuszczoneymi głowami. W tej chwili skończyła się poranna zmiana i tłum ludzi zaczął opuszczać fabrykę.

Cześć chłopaki! – usłyszeli za sobą.

Odwrocił się i zobaczyli znajomego, z którym kiedyś pracowali w ceglarnie.

Cześć Józek. Pracujesz?

Ano, pracuję. Już ponad pół roku i wcale sobie nie brzydzę. Ciężko jest, ale przywykłem. Na farbiarni robię.

Farbiarnia? – ktoś krzyknął. Jeszcze karta do podjęcia.

Tak, tak. Wiem. Idę. Józek odwrócił się z zamiarem odjeżdżania.

Ala, ala! Nie spytałem, co wy tu robicie?

Szukamy pracy, ale Rajchert powiedział, że dopiero na wiosnę będzie.

Zle się do tego zabierajcie. Powiem wam, jak takie rzeczy się robią – nachylił się i szepciem wyłożył im całą sprawę.

<sup>10</sup> Hreslau – to tłum. niem. Wrocław.

A. co? - dudził już głośno, wdrząc zdziwienie, a zaraz potem wśmiech na twarzach kolegów. A. co? Trzeba mieć na czym czapkę nosić.

W niedzielę wieczorem dwa bracia ubrali się odświętnie i szli na ulicę Sienkiewicza za czeskim kościołem. Stali pod drzewem przed wejściem do piętrowego budynku. W tym momencie nadjechała domówka.

Prrr! Stoi! - krzyknął wzdychając.

Mężczyzna, który przyjechał, zgrubnie zerknął na ziemię. Po chwili usłyszeł znajomy głos.

Masz tu złotówkę. Złoty wyłapał rękę po zapłacie. Przy  
jeździe, jak zawsze, za dwie godziny.

Rajchert wszedł do środka, a za nim Karol i Mateusz. W jednym z pomieszczeń zebrali się kilkunastu osób. W pierwszym rzędzie usiadł anagramowy fabrykant. Pozostali siedzące miejsca były zajęte. Stałch więc z tyłu pod ścianą. Wysoki, młody mężczyzna stał nadzwyczaj pozostałych.

Witam wszystkich przybyłych! Zaczaj! Nasze zgromadzenie Rodzicy Piśma Świętego istnieje od 1924 roku i z roku na rok powiększa się grono osób chcących zgłębić tajemnice tej świętej księgi. I jeszcze nie. Je tytu wiernych zebrali się dzisiaj

### Spotrzeżł w kierunku chłopców

Wzrost ięz nowe twarze. Zaczęły zatem od formowania pigmentu B<sub>12</sub>, który przyczyniło się do wzrostu.

Pod koniec spotkania zaczęli spiewać psalmy. Chłopcy szeroko otwierali usta nie wydając głosu, ale udając doskonałą znajomość tekstu a poznawszy refren spiewali go najgłośniej ze wszystkich zebranych tam osób. Po skończonej mszy podszedł do nich Raichert.

ja was znam. Byłście u mnie za pracę. Przypadek do mnie  
jutro. Może coś się dla was znajdzie

## Codziennie troski

Sędziwa Ciżma Żydowskiej znajdowała się przy ulicy Kilińskiego naprzeciw fabryki Lewiego. Zanim przedstawiciel polskiego sennickiego spotykał się tam, aby debatować nad sprawami żelazskiego kahału, kwestie religijne rozstrzygał rabbin, natomiast sprawy administracyjne zajmowały się odpowiednio do tego powołane komitety. Najważniejsze funkcje w sennickim przedstawiał sennicki sennicki. Wspierali ich w dziedzinie sennickiej sennicki. Wieczorami można było porozmawiać w grupie sennickiej o sprawach codziennych o tym, co wydarzyło się na świecie, w Polsce, na własnym podwórku.

Czasakiy Sakamon gazetę powiodzieł Nymcha Salt podzi-  
wiał kuleczkę dziennik.

**Misze na myśli coś konkretnego!**

### 1. Karykatura ministra Becka w Sejmie. Pierwszy zgon

Saturnon zaznaczony, a Saturn kontynuował wyprawę?

Mówił o stosunkach z Francją i Rumunią. Że niby się nie nie-  
zniechęcił i kłódkach o Nagrobie / ZSR. Rzecz Niemiecką.  
a - oświadczył - ani słowa

Su ak Salomon odlozył gazetę. To chyba lepiej ze  
nasza mamy obiecana pomoc w odzyskanie

Dostrzeć to mógł. Ochrana. Nie byłbym taki pewny tych  
działań. Ochrana się mylił, nie po prawdzie to lepiej, żeby w ogóle  
nie była potrzebna. A prawdziwych przywódców poznaje się wtedy  
kiedy na 100 gardła ostatni kęs wrywa. A co ty Salomon na Boże-  
wilkę wiesz?

— Mnie, Synka daleko od niego i tych tak zostanie, ale prze-  
ciwko mu nie brak takich, co do nich się garną. I mówię to o na-  
rodowej młodzieży, choć z innych narodowości, że ich  
nie brakuje. Nu, ale każdy ma prawo do własnego zdania, choćby  
nie było ono takie mądre.

Po chwili milczenia dodał:

Byłoby przez to jego zdanie nikt też nie wylewał

Masz rację, drogi Salomonie, jak zwykle masz rację. Jakies zasady i normy trzeba przecież przyjąć. Jakby to było, gdyby każdy robił, co chce?

W tym momencie do pokoju wszedł zastępca rabna, Elieherbaum.

Musimy usiąść i jeden problem rozwiązać – powiedział zmartwiony

Spojrzał na mego

– Co się wydarzyło drogi rabnie? – spytał Salt.

Duży kłopot, duży. Braknie funduszy na dokończenie synagogi.

Skąd już teraz o tym wiadomo? – spytał Salomoni i podsunął jedno z wojskowych krzeseł, wskazując, aby mężczyźni siedli razem z nim przy stole.

No co, ja rachować nie umiem? Na mury tylko starczy i na dach. A gdzie reszta? Wykonczenie świątyni największe kłopot będzie robiło.

Rabnie, usmiechnął się Salt, będziemy o tym myśleć, kiedy przyjdzie pora. Za rok, może więcej. Najpierw niech mury staną. A ty co na to sądzisz? – zwrócił się do Salomona.

Myślę, że za wcześnie na drugą zbiórkę. Biedny dał tyle, co go było stać i bogaty też, choć dziesięciokrotnie tyle, co ubogi. Przykładem czas, to każdy wyłoży ile potrzeba, bo to nasza wspólna sprawa. Nie martwcie się rabnie, nasza świątynia będzie najładniejsza w całej okolicy, a nawet w powiecie. Co ja mówię? Pol Polak będzie nam się kłamać na taką świątynię.

## Jesodej Hatora<sup>b</sup>

W lutym 1938 roku odbyło się w siedzibie żydowskiej gminy w Złowie spotkanie, które miało wpłynąć na dalszy rozwój ludności wyznania mizjeszowego na terenie osady Zelow. Na wstępie głośno zabrali przewodniczący zarządu.

Zebrałiśmy się tu dzisiaj, w szerszym gronie, gdyż mamy do omówienia ważne kwestie dotyczące rozwoju naszego szkolnictwa na terenie Zelowia. Osoby, które dotychczas działały w tym obszarze są wam znane. Wiecie też, że nasze dzieci uczęszczają do szkół powszechnych razem z innymi dziećmi, i dobrze, bo wykształcenie to ważna rzecz. Jednakże sprawy dotyczące naszej religii i tradycji są tam z reguły pomijane. Tym musimy zająć się sami. Mamy co prawda Powszechną Szkołę Prywatną, prowadzoną przez związek Szkolnej i monej Israel. Uczy się tam blisko 600 dzieci. Jednak warunki nie są tam dobre i w związku z tym ciągle są problemy z Inspektorem Szkolnym. Co się zaś tyczy nauki języka hebrajskiego, to lekcje prowadzone są w wielu prywatnych domach i policja traktuje te kursy jako nielegalne. Szląc pismo w tej sprawie do Starostwa. Jest dzisiaj z nami prezes zarządu szkoły – Moszek Liberman i członek zarządu, pan Kohn,

Następnie głos zabrali fabrykant Liberman, gorący wyznawca wier swoich przodków, człowiek ściśle przestrzegający tradycji i kultury żydowskiej, społecznik – człowiek zamożny.

I tak dalej dodać, że od dawna borykamy się z tymi problemami, które przedstawił panom moi, przedmówca. Od dawna namyślamy też pomysły ich rozwiązania. Częściowo zostały one wprowadzone w życie. Organizacja Agudas Israel<sup>b</sup>, której jestem prezesem, podjęła jakiś czas temu starania utworzenia w Złowie,

<sup>a</sup> Jesodej Hatora – Zasady i Normy Stowarzyszenia Żydowskiej Szkoły Religijnej

<sup>b</sup> Agudas Israel – zrzeszenie polskie o charakterze religijnym



w budynku przy ulicy Żeromskiego, Prywatnej Ośmioletniej Szkołoklasowej, Męskiej Powszechnej Szkoły Religijnej „Jesadej Hatora” O tym, jak ma wyglądać nauka w tej szkole, opowie po krótku obecny kierownik i nauczyciel matematyki w szkole na ulicy Św. Anny pan Janusz Marek.

Siedzący obok Libermiana, młody, przysusły mężczyzna wstał i zabrał głos.

Nazywam się Janusz Józef Marek. Mieszkam w Żelowie, przy ulicy Marzanka Smęglego-Rydzia. Nie jestem wyznania religijnego. Jestem luteraninem, ale nie przeszkadza mi to w wypełnianiu moich obowiązków w sposób należyty i zgodny z wytycznym właściciela szkoły jak i odpowiednich przepisów

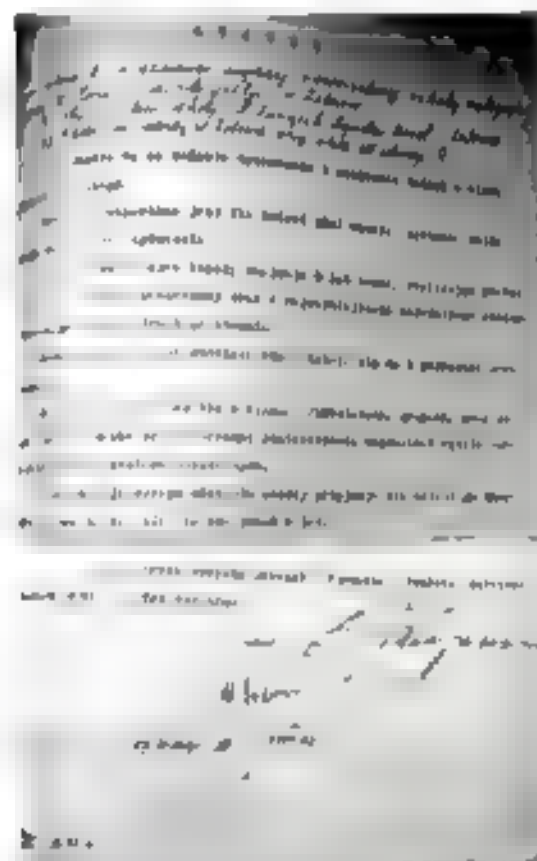


Janusz Marek – ostatni kierownik szkolnego chederu

Chcę dodać, że opracowany przez nas Statut Szkoły został w dniu 17 lutego tego roku zatwierdzony przez Kuratora Okręgu Szkolnego. Zawiera on informacje niezbędne do funkcjonowania placówki, a za najważniejsze uważam to, że obowiązują w tej szkole dwa języki nauczania dla przedmiotów ogólnokształcących

język polski, a dla przedmiotów religijno-judaistycznych – jidysz. Liczba godzin dla tych ostatnich to 22 tygodniowo.

Kierownik długo objaśniał zasady funkcjonowania szkoły i odpowiadał na pytania. Podczas obrad postanowiono też o rozlokowaniu nowej szkoły w przyszłości, tak, aby zapewnić dogodny warunki nauczania dla ciągle zwiększającej się liczbie ludności żydowskiej.



Statut chederu (fragmenty)

## Wielkanoc

Wielkanoc 1938 roku szykowała się zimna i dżdżysta. Zasnute chmurami niebo nie przepuszczało promieni kwiatowego słońca. Jednak wszyscy katolicy przygotowywali się do jej obchodów zgodnie z religijną tradycją.

Co tam słychać, pani Wroblewska? Świąteczne porządki? spytała trzepiąc dywan sąsiadkę, pani Teresa.

Ano, pani Szkadlarkowa. Ano. Jak co rok trza kawy powymyć. Słunna też kazałam synowi poćwic. Trochę załóg bo pogoda pod pieczę i sehnąc nie chce, ale nie wyobrażam sobie żeby na święta mieszkania nie odświeżyć.

Bo się też i nie godzi – odpowiedziała mama Franka. Jakby tu święta wielkanocne pasowały do brudnego mieszkania.

Ma pani rację. Żydzi sprzątają przed Paschą, a my mamy święcone w nieporządku spożywać?

Tak, tak, święta za pasem – dudala pani Teresa. I posprzątać trzeba i odświeżenie trzeba naprawić, i z duszą także to samo zrobić potrzeba, by w kościele na mszy godnie wystąpić.

Wtem na podwórzu rozległo się głośne wołanie:

„Hmiejny tanc na stoły wielkanocne! Hszaczmyyyy! Bonnowka! Kobluny! Słoneczk do święconek dziecięcych, kuszywyczki!”

Artykuły świąteczne docierały bezpośrednio na podwórka. Sprytny sprzedawca wiedział, że gospodynie nie mają kiedy odebrać się od sprzątania, więc chętnie zapłaci nawet o dwa grosze więcej. Przedświąteczne porządki ogarnęły niemal wszystkie domostwa. Podwórka wypełnione były gwarem sąsiadek plotkujących przy trzepaniu dywanów i wietrzących na drągach pierzyny.

<sup>12</sup> Kobluny – pierogi z buraczem

Nawet wśród najuboższych widać było narastającą wraz z nadchodzącą wiosną i dniem zmartwychwstania, radosną atmosferę. Świąteczne nie zabawia kilka ciężko zarobianych groszy na wypiór i wydatki na szczotkę ryżową. Wszędzie roznosił się zapach pieczenia ciasta i dym z podwórkowych pieców – szabatników. Wiosnowe sklepy pełne były kolorowych malowarek, czekoladek i zółciutkich kureczek. Świąteczna melodia rozbrzmiewała na ulicach wszystkich warstw społecznych i wszystkich katolickich dworogłazów.

\*\*\*

1 kwietnia 1938 roku w Parafii pod wezwaniem Matki Bożej z Łęchochowskiej skończyła się Rezurekcja. Frank wycofał się wraz z innymi ministrantami przez zakrystię.

No, ale niby chłapaki. Raz w roku możemy sobie postrzeżać. Pamiętacie, jak było w ubiegłym roku?

Ciekawo było – odpowiadał najmłodszy z nich, Ignasz. Tak było, ale trochę się bałem, ale teraz jestem dużo starszy.

Nie ma się czego bać. Tylko łapy z daleka trzymać, ostrożnie! – powiedział Frank.

Wziął metalową puszkę po kawie zbożowej. Natłuszczył do „pamiętnika” skropił wodą i zatkał pudełko woskiem. Pokrzył się na ziemi. Wszyscy zatkał uszy, czekając, patrząc, jak przyłożył zapaloną zapalniczkę z drugiej strony do małego otworu zrobionego w „pamiętniku”. Wszędzie wielkim hukiem wystrzeliło w powietrze.

Ale przemożęło, aż się ziemia zatrzęsała – powiedział z podziwem Stanisław.

Nawet dudala mały Ignasz. Jeszcze raz, jeszcze raz – zaczął podskakiwać i klaskać w dłonie.

<sup>13</sup> Sł. „pamiętnik” – w tym miejscu oznaczał: mały „pamiętnik” – w tym miejscu

Zabawę zakończył organista. Wniezłowski stwierdził, że „już chyba wystarczy w kościele”. „A tak daleko pójść to ludzie nie usłyszą śłów księdza odprawiającego mszę”.

Po porannej kąpieli nadziei świętecznym śniadaniu Franek spotkał się z Zenkiem i Dawidem.

„Słyszeliście dzisiaj rano?” krzyczał już z daleka.

„A co, Franek?” „A co?” – koledzy udali zdziwionych.

„Nie adawujcie głupich”.

„Kto ci o tym byłby świduk? Jakies strasznie cicho było” – powiedział Dawid.

„Coś puknęło” – dodał Zenek.

Widział, że za pierwszym razem koledzy, którzy lubili kiedys chwycić się za jego czołmo.

„Coś puknęło” – powiedział zamyślowany Franek. „Pieprzył jak cholera! Jak nigdy dotąd”.

„Te, ministrant – wtrącił Dawid.

„A, co? Przecież to nie było pierdnięcie”.

„Niech ci będzie. Zartujemy przecie!”.

Franek machnął ręką.

„Zartujcie sobie, zartujcie! Mówcie, że Zenek się zatrzymał”.

„Owiedzieliście, czy słuchaliście rano w parafie wieczorem”.

„Nie słuchaliśmy. Chociaż świduk, że byłby świdukowski” – „Historia o Męce Pana Jezusa Krysta”.

Zenek obruszył się.

„Wczoraj mówił, że przyjdą wam Polacy do meczu z Brazylią. Myslisz, że mamy szansę?”.

„Jeszcze, że mamy” – rzekł Wniezłowski na pewno strzelącego.

„Chyba przegrywaliśmy naszych piłkarzy na huc na Słasku. Jeszcze nie wiemy, gdzie dokładnie. Ale na Słasku” – dodał Zenek.

„Szkoda, że nie u nas” – westchnął Franek.

„Jeszcze” – zachnął się Zenek. „Ale że jeszcze wiecie na treningu zaproszą, że wy też trenować. Oni nawet nie słyszeli o takim Ze”.

„Przecież nasza drużyna też dobrze gra” – wtrącił Dawid.

„Dobrze, ale to nie ta liga. Nasz na meczach dorożkami, albo wozami chłopskimi jeżdżą”.

„Nie zawsze. Czasem autobusem Czajkowskiego” – wtrącił

„A tak, stani raz grał ze Szwedami w Zduńskiej Woli” – powiedział Zenek. „Kiedyś grał z Złotowskim Klubem Sportowym”.

„A u nas mało ludzi na meczach chodzi?” Tata mówił, że ostatnio było tylko kilku ludzi”.

„Nie, bo liczy się 20 groszy”.

„To chyba dobrze, nie?” – odpowiedział Franek. „Bo by nie było stać, a tak klub się rozwija. Od stycznia to znów wchodził sportowcy. No, na przykład, klub fabryki Słasku”.

„Musimy się kiedyś wybrać. Zobaczyć Czechów w akcji, jak grają” – dodał Zenek.

„Nie bądź taki. Nie tylko Czechom grają”.

„Nie bądź taki” – wtrącił Dawid. „Przecież sam sportowcy”.



Drużyna  
Złotowskiego Klubu  
Sportowego. Kłopot  
z 30. 12. 19





Zetchem, High Strength concrete for 30 MPa

Coering bada...

Przez uchylone okno zakładu krawieckiego zaglądał ciepłe wiosenne słońce. Salomon siedział pochyłony przy maszynie i szyl. Nagłe wesołe żydowskie melodie. Nagle do drzwi wpadł sprzedawca kupiec Jurek Kohn.

Wiesz, Salomon, co pisał? Wzbudzony mężczyzna pokrzył  
kobietę na maszynie

Coering bada /ydowski stan posiadania. Salomon przeczytał na głos tytuł artykułu i czytał dalej.

Wszyscy Żydzi, obywatele Rzeczy obowiązuani są do zameldowania odpowiednim władzom swego stanu posiadania zarówno

w Rzeczy Państwa i za granicą. Zwolnieni są tylko ci, których majątek oszacowano na 5000 marek.

„Czyżby pan powiedział Kohn: „Do czego to doszło?”  
 „Tak, bo to ten Hitler zabronił nam na ulicę wychodzić. Dlaczego?”  
 „Dlatego, że tak to pozwalała?”

\*Wieloletni spór zął na zdenerwowanego kolegę

... jeden głupiec czyni wielu głupców. Obawiam się, że za dłu-  
ższą chwilę Szwajcars jak i my za nimi stoją. Sami fanatycy  
kochać marzą (dalej).

—A? A? Co z tego będzie? Co będzie? Przyjdzie nam z tor-  
bami (już).

[illegible]

— Jak szybko mija czas. Już koniec czerwca. Już pięć lat mija-  
tam w Łoknie. Tyle się wydarzyło. Zmarła moja Mama. Mariani  
i urodziła. Zmieniłam się. Za rok będzie mój dwadzieścia latka. Już  
nie będę dzieckiem. Za rok będzie dwadzieścia lat. Już  
mam swojego bratanka. Przyszłość, czy może rozjedziemy się  
z Marią? Franek chce znowu odejść. Jakiego krzyża. Mam na  
sercu. Że mi się nie udało.

...nie, zbliżyliśmy się Święta Morza. A kazałem domowi, jak  
... i święta, wyniesienie było czerwone flagi. „Dni Morza  
... w ciemną miedzią czerniła. Właśnie nie...  
... w Łelowie? Tak daleko od morza. Ale bardzo lubię tu  
... składowanie kwiatów pod pomnikiem, przemówienia i wy  
... i orkiestrę, i loterię. Chciałbym kiedyś zobaczyć morza  
... i woda nie trawie już morza przodu, prawie  
... uderzeń ręk fal w czasie szalornia, krzyk mew i zabawy  
... wielkie zagłowe, jak „Dziś Pomorza. Ale na naszych  
... widać, że jest piękne.



*Uroczystość „Dni Mierza” w Żelazowie*

## Urodziny Jana Baczmagi

W sobotę rodzina Szkudniaków wybrała się z wsi do Hujen. Najmłodszy z rodu Baczmagów – głowa rodziny – Jan Baczmagi obchodził 70. urodziny. Pogoda dopisywała, więc stoły rozstawiono na podwórzu pod wierzynami. Liczne zgromadzenie odśpiewało jubilatowi 100 lat.

Niech żyje! – wołali dorośli.

Niech żyje! – powtarzała za nimi gromadka dzieci, a Burek weselo podszczeakiwał, ciesząc się razem z innymi.

Pan Jan siedział na honorowym miejscu i podpierał wasa.

Zdrowie, Anusia – zapropunkował najstarszy syn – Bolesław, wznosząc kieliszek samogonu.

I zdrowie i szczęście – błogosławieństwa przez serce Maryi rozbrzmiały ponownie śpiewy, które ucichły, kiedy jubilat wstał i rozpoczął mowę.

Testem szczepstwa, że tyle was tu się dzisiaj – głos zataniał mu w nico, a w oku zakłęciła się łza.

Rodzina – zaczął od nowa. Rodzina jest najważniejsza. Testamta zdrowie i to zebysmy się wszyscy nawzajem kochać i tak będzie my się w kupie trzymali i wzajem wspierali w kłopotach. To Pan Bóg będzie z nami. I niczego nam więcej nie trzeba. W naszym ogrodzie tego roku, sad pełen owoców, las pełen grzybow i w naszym stawie i w rzeczce rybki, a na polu dorodne kłosy zebrano. W miodnich stoją i czekają na młóckę. Jutro zaczynamy zbierać: cepy w rękę i wymłócić zboże, aby zmieścić je potem do młyna, a z maki chleba upiec – kłopot od Pana Boga pochwyci, szanować go trza, jak największą świętość. To tyle chciałem powiedzieć.

Bożena – siostra Bolesława i Tereska – nachyliła się do siedzącego obok niej Anuska i szepnęła mu do ucha.

Pamiętasz, jak dostałeś to owoce za to, żeś z chleba ku ci rebit zrobił?

Pamiętam. Do tej pory mnie tyłek swędzi, ale na całe życie zapamiętałem, że chleba trza szanować. A gdzie twoje chlebaki?

Spadła we zmiwach pomagana. Zawsze to parę groszy zabija.

W tym czasie pan Teresa podeszła do ojca i całowała go w głowę i policzki.

Święty ojciec talus powiedział, a Franek podszedł do wujka i do Baki – poprosił.

Niech wuj opowie, jak kacapa był pod Kyowem.

Wszystkie razy opowiadałem – pan Bolesław machnął ręką.

Testa, że raz? Jeszcze raz? Prosimy.

No dobrze. Było to we wojnę z bolszewikami – zaczął opowiadać.

Wszystko nadstawiał uszu, chociaż nie miał na pamięć znać jego z tamtych przygód.



Antonina Antonina

Później wszyscy kolejno opowiadali różne historie i śmiali się, aż weszli na sprawy dotyczące tylko domowych, więc dzieci pod wodzą najstarszych z nich, Franka i Kasi, poszły bawić się za stodołę.

Patrzcie, chyba coś się stało. Sądziła gubnieś leci!

Franek spojrzał w kierunku wskazanym przez kuzynkę Marysię i uśmiechnął się.

Kiejkę trzyma w garści — szybko nogami przebiega. Wygląda na to, że ją pogonilo. Żeby choć zdarzyła — śmiał się — no to te mały z kłapą to nie łatwo.

Przestań! Kaska zdzieliła go ręką po głowie. Coś się stało! Chodźmy zobaczyć.

Weszli na podworko do sąsiadów i podszli do chłopskiej krytej słomy. Zaprzyli przez okno do izby. Po środku pomieszczenia, na pościeli, stało łóżko. Na nim leżała starsza kobieta.

Tę pani Rybakowa — powiedziała Marysia. — Od kilku dni tak leży, tak ją zmogło.

Franek położył palec na ustach, dając znak, żeby ucichła, więc dodała szeptem.

Babcie Antonię wezwali. Będzie unku odczyniać.

Przyłożyli mocno nosy do szyby.

Ja też chce zobaczyć — miała Kryśka nie mogła sięgnąć parapu, więc Franek wziął ją na rękę.

Przy chorej stała rodzina i bosa kobieta o długich, swych włosach opadających na ramiona. Ubrana była w wełnianą spodnicę, w kratę, zapaskę i białą koszulę. Na piecach miała kolorową chustę w kwiaty. W powietrzu rozleciał się dym — zapach ze spalonych na metalowe tacy żółt. Światło wielu zapalonych świec czuło na ściany i twarze zbierających tam ludzi, długie cienie. Wszyscy czekali z zapartym tchem, co będzie dalej. Antonina przeżegnała się i półgłosem zaczęła odmawiać jakas modlitwę. Po chwili wzięła leżącą na krześle czapkę. Wywrociła ją na drugą stronę i podeszła do chorej. Przetarła czapką jej czoło, twarz i włosy. Modliła się szepcąc kilkakrotnie przez palec na podłogę. Powtorzyła trzykrotnie wszystkie czynności — po czym uczynił znak krzyża na czole chorej. Później sama się przeżegnała i powiedziała już głośno.

O Bogu da, tak będzie.

Później pożegnała się i wyszła z izby, zostawiając po sobie nadzieję na wyzdrowienie.

## Odpust

W niedzielę 16 sierpnia w Kościele Parafialnym pw. św. Wawrzynca w Łobudzicach zebrały się tłumy wiernych, chcących dostąpić łask odpuszczenia grzechów. I ruczystą mszę odpustową sprawował proboszcz, ksiądz Gustaw Witkowski. Różnorodna procesja przeszła wokół kościoła. Kobiety ubrane były w tradycyjne stroje: kolorowe bluzki, zapaskę, wełniane chusty w kratę, wysokie sznurowane trzewiki, a na głowach związane



miały kolorowe chusty. Mężczyźni po gospodarsku w wysokich butach, czapkach z daszkami, czarnych wełnianych spodniach, płóciennych koszulach i w kamizelkach. Nie brakowało też takich ubranych w garnitury i dzieci w odświętnych ubraniach. Chłopcy nosili spodnie na kant i białe koszule. Dziewczynki kolorowe sukienki – czerwone lub białe tuciki. W starannie zaplecionych włosach powiewały im różnobarwne wstążki.

Po mszy, przy biciu dzwonów, wszyscy udali się na stragany. Zewsząd dobiegał radosny zgiełk, gwar ludzkiej mowy, dźwięki piszczałek, odgłosy wystrzałów z kapiszonów, cichsze kłopotki, drewniane wiatraczki – motylki. Powązane w kosze obwarzanki obecne były na każdym stole. Dzieci, które z przejęciem oglądały każdą błyskawkę przepychały się między dorosłymi, aby zobaczyć i dotknąć wszystkich tych cudów, które wzbudzały w nich zachwyt i pożądanie. Każdy chciał spróbować szczęścia na loterii. – „Zame przegrywa, białe wygrywa”. Wzrok podążał za wskaznikiem, ramieniem zakończonym piórkami, kępczącym się po okręgu. Każdy powtarzał w myślach: „Stój! Stój! Na białym”. Można było wygrać gumanego, pięknie pokolorowanego kota, psa, czy koguta, a bo przynajmniej, słodkiego batonika. Starsi próbowali szczęścia na strzelnicy. Strzelali z wiatrowek do drewnianych tarczy kwiatów wykonanych z gąbki. Cudowną zabawę miały dzieci na stojącej niedaleko karuzeli, która poruszała się za sprawą siły mięśni dwóch obsługujących ją mężczyzn.

Cała rodzina Baczmagów i Szkułlarków rozszedła się wśród straganów. Franek z siostrami i kuzynostwem poszli po lody. „Twardziele” sprzedawane były z drewnianych skrzynek.

Dla mnie, dla mnie też – wołała Krysia, wstyrując się siostrze.

Ty dostaniesz wate cukrową i pileczkę na gumce – powiedziała starsza od niej Marysia. – Mama tak kazała, bo niedawno byłaś chora, ale nie martw się, obiecała też, że kupi nam cukerków i różowe lubełki na pasku.

Ja idę na „Jancuchową” – powiedział Franek, pokazując w kierunku dużej karuzeli. – To będzie jazda. Płnucie dzieci, dziewczyny. Zanim pójdziemy do domu na obiad, a ja jeszcze wieczorem przyjdę na zabawę.

Zobaczmy, czy cię ojciec puści – uśmiechnęła się Kaśka. Na pewno znowu będą się bić, jak rok temu. Tu zawsze mają jakieś porachunki i między sobą. Lubiudzie przeciw tym z Grabosowa. Nie pamiętasz, jak wuj Wawrzek miał oko spuchnięte?

Mam już siedemnaste lat – oburzył się Franek. – Zobaczysz i tak przyjdę.

### Choroba Miriam

Tę noc Sara nie spała. Siedziała przy swojej małej siostrze, która płakała i nie mogła zasnąć. Nosila ją na rękach, kołysała, ale nic nie pomagało. Rano zawołała ojca:

Tato! Miriam ma wysoką gorączkę. Nic, a nic jej nie przechodzi. Tato, do doktora trzeba.

Salomon spojrział na córeczkę. Dotknął jej czoła.

Chieraj ją, idziemy.

W poczekalni u doktora Łuczyńskiego nie było nikogo, ale za drzwiami gabinetu słychać było rozmowę. – Musimy poczekać (chyba ktoś jest – powiedział półgłosem Salomon).

A co tam, panie Maksymowicz?

Ano nie bardzo, doktorze. Tu boi – mężczyzna dotknął ręką klatki piersiowej. – Najwięcej, jak kaszle.

Lekarz zabrał się do badania.

Dawnośmy się nie wdziali! – mówił dalej pacjent. – Co u doktora? Dużo roboty pewnie?

Pracy mam dużo, ale najwięcej trzeba naprawiać po różnego rodzaju pozal się Boże znachorach i babkach, co po wszech leczą. Nadają ludziom różnych świstów – a ja później muszę się martwić, jak leczyć pacjenta, co przez ich zabiegi jedną nogą w grobie stoi.

Nie dziwota. W wielu miejscach w zabobony więcej wierzą niż, doktorom, no i pieniędzy nie mają.

A czy to ja dużo hurt? zirytował się doktor. Nicraz się za Bóg zapłać pomogło.

Ano dla tych, co do garnika nie mają co włożyć — po resztę, to ludzie też nie chcą, bo jak to bez zapłaty, nie godzi się. Każdy swój honor ma i wie, że nie za darmo na tym świecie. No i doktor, to ma tyle ludzi, co mogą potrzebować, żeby im ulżyć cierpieniach. Przecież się doktor nie rozdwoi.

Myślą mądre głowy, co z tym światem zrobić, żeby młodych lekarzy sciągnąć na wieś. Wywniosili, że można by przymusić ich wprowadzić, żeby zaraz po szkole na dwa lata, na prowincję ich dawać. Może to — dobry pomysł, bo doświadczenia by nabrali i ludziom pomogli. No, ale my tu sobie gadamy, a pan ledwie słucha.

To, co mi doktor przepisał?

Dla wujka Hujen zestaw specjalny — uśmiechał się doktor pierzyna i cięte banki. O! co! Tutaj jest recepta do wykupienia.

- Oby tylko pomogło.

- Pomozie, pomozie, tylko w cieple wyleżeć.

- Bóg zapłać doktorowi. Bóg zapłać.

Po wyjściu Maksymowicza lekarz wyszedł z gabinetu. Spojrzał na oczekujących.

Proszę. Można wchodzić — zaprosił do środka.

Dzień dobry panu doktorowi — zaczął Salomon i kłaniał się niskie. Mała cugle choruje. A teraz, to już będzie ze dwa tygodnie, jak ona popłakuje. A dzisiaj w nocy to tak gorączkę dostała.

Dzień dobry — odpowiadał Luczynski. Proszę ją tużetrąć. Zaraz będziemy wiedzieli, co jej dolega — uśmiechał się do Miriam.

Po dokładnym zbadaniu dziecka doktor zmarszczył swoje krzaczaste brwi i spojrzał z wyrazem na Salomona.

Za długo czekacie! — zaczął ostro. Wczesniej trzeba przychodzić! Jest poważnie chora. To zapalenie pęcherza i nerek.

Wźmiecie słony owsianej i kąpać w niej małą dwa razy na dzień. Zaraz napiszę receptę do wykupienia i jak łąki podawać. Te robione pewnie będą dopiero na jutro, ale powiedzcie w aptece Radziszewskiemu, że prosiłem, jak się da, to na dzisiaj, jeszcze. W cieple trzymać. Nogi octem smarować — na gorączkę. Jakby za dwa dni nie było poprawy, to trzeba będzie do szpitala, do Łasku.

Przez dwa dni i dwie noce siedzieli na zmianę przy Miriam. A kiedy mała płakała, Sara spiewała jej kołysankę.

Numi, numi, numi kołysz się kołysko, śpij kochanie śpij.  
Numi, numi, numi ciemna noc już blisko, już nadechodzą sny.  
Nim szare zycia dni na twoje ścieżki spłyną, nim spadną deszczu łzy,  
beztrosko śpij dziecko. Zabierz ciepły kien tu trudny szlak  
w nieznane i światło dnia i cień, lecz teraz śpij kochanie.  
Numi, numi, numi..."

Troczego dnia dziewczynka poczuła się lepiej. Zaczęła jeść. Po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się i wydać było, że zdrowieje, bo choć była jeszcze bardzo słaba, to uśmiechała się i nie chciała już leżeć. Salomon zakrzył talies — lefi m i wznowił ręce ku niebu.

Radz błogosławiony o Panie Boże nasz za Twoją dobroć — za to dziecko, które nam wrociłeś, bo ono jest miłością życia naszego.

## Niepokojące wieści

W wolnym wieczorze Zenek spotkał się z przyjaciółmi przed kinem.

Dawno nie oglądałem filmu. Jakoś nie miał na to czasu.

Dawid spojrzał na przyjaciela.

Ja dopiero drugi raz idę do kina.

Za to tylko dobre filmy oglądasz, a dzisiaj się pośmiejemy.

Myślisz?

No pewnie. Reklamowa i przez radio „Paweł i Cawel” komedia roku. Wywołają dwupento — dwupendo — dodowej, cztero — coś tam heterodyny z podwojnym napędem, no jakieś radio chce sprzedać i całe z tym zamieszanie. Na pewno będzie dużo śmiechu. W końcu to komedia, nie? Popójmy jeszcze na drugą część „Znachora” jak będziecie chcieli. Musiałem trochę wyjść z domu, bo przyszedł sąsiad i dyskutuję o polityce. Atmosfera nie bardzo w związku z tym, co Niemcy zrobili. Też uważam, że to nie w porządku, ale co my możemy. Niech mądrzejsze głowy się tym zajmują. Od tego są, a każdy powinien robić swoje. Tata też tak powiedział. Marzy piekarnię — chleb robimy, to jest każdy musi. W politykę się nie bawimy. Mam nadzieję, że wy myślicie podobnie — zastanowił się chwilę i dodał: — Chociaż z tym Zuołkiem, to też nie bardzo.

Nawet nie wiem, gdzie to jest — odpowiedział Franek. Tata tylko mówił, że gdyby on zależało od niego, to nigdy by tak nie zrobił.

— No, tak — odpowiedział Zenek. Bez Czechosłowacji sobie wszyscy o niej zdecydował.

Nadeszła słotna jesień. Liście opadły z drzew, a wraz z nimi nadzieja. Żydów (z będzie lepiej) Na zachodzie znów zawrzą. Radio i gazety informowały o wydarzeniach jednej strasznej nocy.

O dzieci Abrahama. Apokalipsa — rozpoczął szabasowe nabożeństwo rabin, Jakub Goldsztajn.

Nastąpiła długa, martwa cisza. Zebrani w bóżnicy Żydzi stali z opuszczonymi głowami, plakali, niektórzy darli szaty, mnił kłaniali się i modlili w myślach.

Synowie i córki Ziemi Izraela! — kontynuował. W Holenderskich Niemczech mordują Żydów i cały świat się przygląda. Nikt nie wie, na to akty terroru i przemocy. Wszędzie tylko

dystryminacja, przestawiania i deportacje. Spłonęły setki domów bożych, a wszyscy się tylko patrzyli. Strażacy nie gasili pożarów, ochraniali tylko sąsiednie Aryjskie domy, sklepy. Piszą w gazetach, że oni mówią, że oczyszczają naród niemiecki, z innych narodów — krystalizują. To zwyczaj handyer, mordercy. Wystarczy jednemu głupcowi dać władzę i co? Co zrobi? Kto przerwie gębę naszym braci i siostr? Rabin amosi ręce w górę. O! Jakże! Czemu, aż tak nas doświadczasz? Czyż nie służymy ci wiernie? Czyż nie jesteśmy na każde Twoje wezwanie? Czyż, jako Narod Wybrany mamy być gotowi, aż do takich poświęceń?

Nabożeństwo przybrało żarliwy charakter. Modlono się do Wszechmogącego o to, aby nie zapominał o wietnych służbach i otoczył ich opieką.

Na wyspach z bóżnicy rozpoczęły się gorączkowe dyskusje. Strach przed przyszłością, bezradność wobec narastających wydarzeń, żal do Hoga o brak wsparcia, ale także oburzenie — groźby pod adresem agresorów. Odczucia społeczności Żydów w całej Polsce. Rozmowy na ten temat trwały do późnej nocy. W końcu postanowiono wesprzeć pokrzywdzonych braci poprzez zorganizowanie zbiórki pieniędzy w celu odbudowy zniszczonych synagog, sklepów i domów.

## Zabawa sylwestrowa

Franek spotkał Zenka w sklepie mięsnym u Kosteckiego.

Cześć. Miałem właśnie iść do ciebie — kiepnął przyjaciela po ramieniu.

O! Cześć — odpowiedział zaskoczony Zenek. Wykuczyłem tylko na chwilę. Mama każe zakupy zrobić. Masz jakąś sprawę, czy tylko chcesz pogadać?

Sprawa jest poważna, ale nie tutaj – powiedział tajemniczo Franek.

Wyszli razem na dwór.

Ale dmucha – Franek docisnął czapkę na uszy, aby ochronić je przed mroźnym, zimowym wiatrem.

To chodź do piekarni, tam pogadamy.

– Wystarczy do bramy – odpowiedział Franek.

Po chwili chłopcy stali w osłoniętym miejscu, w bramie domu Pejgów.

Niedługo by wstrza – zaczął Franek. Może byśmy poszli?

– No, może? Ale gdzie?

W zeszłym roku by idmy u was na świąteczny. Nie było zle, ale też nie było dobrze i jeszcze wtedy ojciec po mnie przyszedł.

Ta, nie było zle, tylko ani razu nie zatańczyłaś – uśmiechnął się Zenek. – Czadłeś się, jak ten czajnik.

A ty, co taki absztyfikant<sup>1</sup> może? – obruszył się Franek. Zresztą wtedy nie umiałem tańczyć, a teraz Kasia mnie trochę nauczyła, no i jesteśmy o rok starsi. Już niedługo osiemnastolatki. Człowieku! Osiemnastolatki! Franek złapał się za głowę. W końcu będziemy dorośli.

To chcesz iść po to, żeby poleńczyć? Zenek spojrzał z nie-dowierzaniem na kolegę.

No – to też, ale chciałbym – zacerwienił się mimo mrozu – no, chciałbym, żebyś wziął też siostrę.

Aaaa. Tu jest pies pogrzebany – zaśmiał się Zenek. – A co ja będę z tego miał?

Targujesz się jak jak. Ilek. Nie możesz po prostu dla kolegi tego zrobić? Tylko broń Boże nie mów jej, że ja chciałem!

No dobra, ale ty pójdziesz z Kasią.

Nawet dobrze, bo ona wspominała, że koleżanki idą. Zabawa jest u nas w tej drewnianej kaplicy, przy kościele.

<sup>1</sup> absztyfikant – ułomna kinkaduna

Hul mroźny Sylwestrowy wieczór 1938 roku. W dawnym ko-szałku, służącym teraz jako świetlica dla ministrantów oraz miejsce przeprowadzania loterii fantowych, jasełek i innych uro-czyśności, zebrali się uczestnicy sylwestrowego balu. Nie było tam. Tańczyło niewiele par, choć do tańca przygrywała kapela składająca się z trzech muzykantów. Franek i Zenek z siostrami usiedli na krzesłach pod ścianą.

To po to przyszliśmy? – zapytała Kasia. Żeby siedzieć?

Wstała i pocałowała brata za rękę.

Tużemy – powiedziała krótko i stanowczo.

Ty też chodź. Milena pocałowała Zenka i uśmiechnęła się. Później zatańczy z Frankiem – szepnęła mu do ucha.

Zabawa trwała już dłuższy czas, gdy nagle do środka weszły dwie młode dziewczyny. Zenek mrugnął do przyjaciela, żeby spojrzał w ich kierunku.

To Bronka i Stasia – szepnął. Ładne, co? dodał z uśmiechem. Pamiętasz, jak chciałaś jąka wysadywiać?

Franek machnął ręką, ale odpowiadał uśmiechem. Nowe przybyłe dziewczyny zostały zauważone przez większość plei męskiej. Ich późne pojawienie się oraz niemała uroda przypominały trochę pojawienie się na balu Kopciuszka.

No, wchodzi? Nie masz się czego wstydić – powiedziała starsza z nich, Bronka, popychając koleżankę.

Każda pewnie jest z chłopcem. Kto nas zaprosił do tańca? – spytała Stasia.

Chława dziewczyny była przedwcześnie. Już po chwili podeszli do nich dwaj młodzi mężczyźni.

Szanowne panie zatańczą? – padła propozycja.

Chce dziewczyny dygnęły uprzejmie i podały rękę na znak, że się zgadzają.

Stasia cały czas tańczyła ze Staśkiem. Czuli się szczęśliwi. Po raz pierwszy była na zabawie. Po raz pierwszy pozwolono jej na to i to tylko dlatego, że niedługo będzie miała swoje 8 urodziny.



Wybida północ. Wszyscy zaczęli składać sobie nawzajem życzenia.

Muszę już wracać – powiedziała cicho dziewczyna.

W blasku lamp wydawała się jeszcze piękniejsza. Stanisław uklonił się i pocałował zarumienioną panienkę w rękę.

– Czy wolno mi będzie odprowadzić panią do domu?

– Ja nie mam domu. Mieszkam u ciotki.

– O proszę o pozwolenie odprowadzenia pani do domu ciotki ponownie się uklonił.

Dziewczyna z wahaniem, ale zgodziła się. Z początku szli w milczeniu, ale po chwili chłopak spróbował rozwiązać rozmowę.

– Niedobrze nie mieć domu.

– Ja proszę pana jestem biedna, nie powinien pan.

– Co nie powinienem?

– No, nie powinien pan się mną interesować, odprowadzać. Ja jestem tylko służącą.

– Ja też nie jestem z bogatej rodziny. Mieszkam w Pozdrenicach i jest nas w domu dwanaście. Ja jestem najstarszy. Nie przejeżdża się nam. Bywa, że tylko zupa z rzepy na obiad. Nacch lepiej pani o sobie opowie.

– A co tu jest do opowiadania? Ale życie musiałam gdzieś pracować. Mama dała mnie do ciotki, bo sama poszła na służbę do obcych, a jeszcze musi pieniądzałożyć na moje utrzymanie. Jak miałam sześć lat, poszłam gości pasać u takiego jednego fabrykanta na Piotrkówkę. Dwa lata tam byłam. Ciotka dostawała za to od nich wózek gnojny na miesiąc. A jak mi gości przez pół uciekły, to tak dostałam od gospodyni po pysku, że pamiętałam do tej pory, choć małym dzieckiem wtedy byłam. Potem u różnych służyłam. Prалам, gotowałam, sprzątałam, albo też ogień w Szabas u Żydów się rozpalało, choć na bułkę, czy dwie – dziesięć groszy się dostało. A ostatnie lata na warsztacie u ciotki robię. Do szkoły nigdy nie chodziłam, bo i kiedy? I taka niezgoda ze mną, jak mówi ciotka.

Ale mnie się pani podoba.

Stasia nie odczytywała się już, ale serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. „Pani mi się podoba” – dźwięczało jej w uszach.

– Franek, Zenek, Kasia i Miłena wyszli z zabawy po pierwszej. Szli przy świetle księżyca po skrzępcy się w jego blasku, śniegu. Szli szczęśliwi i weseli.

Ale zabawa fajna – powiedział Zenek.

Zrobił śniegową kulkę i rzucił w kolegę. Zaskoczony chłopak dostał pruska w czapkę, która spadła mu z głowy.

– Ja ci pokazałem – zaśmiał się Franek.

Zaczęli się gonić, do krzewów wbiegali się także dziewczęta. Franek dogonił Miłenę i objął ją wpoł. Ich twarze zbliżyły się do siebie. Spoglądali, spoglądali sobie w oczy.

– A wy co tak stojecie? – przebiegający obok nich Zenek chwycił ich za ubrania i przewrócił w śnieżną zasypkę.

Kiedy wstał i ponownie spojrzeli na siebie. Złapał się za rękę. Szli w milczeniu, aby nie przerwać tej szczęśliwej, pełnej czułości chwili. Ich serca wypełniała radość. Czuli ciepło swoich dłoni. Czuli, że coś się zaczyna.

## Pierwsza miłość

Franek pokrzywił się do kózki dopiero nad ranem, ale nie mógł zasnąć. Rozpamiętywał minionie zdarzenia. Nie wiadomo dlaczego, śmiechał się sam do siebie. Przed oczami miał obraz dziewczyny, która podobana mu się już dawno, nie po ostatnim z nią spotkaniu wiedział, że może zrobić dla niej wszystko. Co go tak poprosi. Bez żadnego warunku, bez pytania o przyczynę, gotów był poświęcić dla niej własne pragnienia i marzenia, wybaczyć nawet rzeczy niewybaczalne. Był pewny swojego uczucia do Miłeny, jak nigdy niczego dotąd. Wiedział, że tego, co czuje, nikt nie jest w stanie go pozbawić.

Kiedy nastał ranek, ubrał się szybko i poszedł w kierunku domu Pejgów z nadzieją, że choć przypadkiem będzie mógł ponownie spotkać się z dziewczyną ze swoich marzeń.

A ty co? spytał zaskoczony Zenek, kiedy zobaczył kolegę opartego o ścianę, kucjącego w bramie jego domu.

Na ciebie czekam.

No, ale czemu nie wszedłeś?

No, wiesz, wsuwając rękę pod czapkę Franek podrapał się w głowę. – Chciałem porozmawiać.

Czy mi się widzi, że nie ze mną? Wejdz! Milena w domu.

– Może lepiej, nie?

Oj, chyba was wzięło, bo ona też dzisiaj jakaś zamysłona chodzi. Nawet mama jej się pytała, czy aby się nie przeziębiła na tym Sylwestrze.

Franek zerwał się na równe nogi.

– Mówisz, że zamysłona?

– Noo! – odpowiedział Zenek.

Po chwili Franek usiadł z powrotem.

– Może tylko źle się czuje?

Tak, bo myślał o swoim chłopaku – dodał poważnie Zenek.

Ona ma chłopaka? – krzyknął rozpaczony, zrywając się ponownie.

No, ma. Tak na mojego nosa – o ile znam moją siostrę – to ma. Ma na imię Franek.

Franek uśmiechnął się.

– To idę – skierował się w stronę wypicia z bramy.

Gdzie?

Zenek złapał przyjaciela z tyłu za barki i popchnął w kierunku drzwi do mieszkania Pejgów.

– Właż do środka na pewno się ucieszy.

Od pamiętnego Sylwestra niemal w każdą niedzielę Franek spotykał się z Mileną. Uczucie, jakie powstało między nimi, narastało i dojrzewało z każdym dniem. Łączyła ich zgodność cha-

akterów, wrażliwość, spontaniczność, wzajemne zaufanie, miłość – dobroć dla drugiego człowieka. Czuli, że są dla siebie stworzeni, że tu ta jedna, jedyna, prawdziwa, czysta i nieskazitelna miłość.

Nadszedł maj. Soczysta zieleń młodych liści, woni kwiatów, radosny śpiew ptaków napawał radością i optymizmem wszystkich dwojga, a szczególnie tych dwoje młodych, zakochanych w sobie ludzi. Jednak nie samą miłością człowiek żyje. Trzeba zarobić na chleb. Franek pracował w pocie czoła przy budowie synagogi, niemal naprzeciw domu Pejgów.

Budynek nowej, żydowskiej świątyni stał tuż przy ulicy Kaczkowskiej. Był znacznie większy, niż dotychczasowy drewniany. Miał wysokie okna i kolumny, które wspierały sklepienie. Budowa w stanie surowym była niemal gotowa. Franek, jako młody, zwinny i odważny chłopak pracował zwykle na rusztowaniach. Kiedy zobaczył Zenka, zszedł na dół, jak zwykły chłopiec.

Popijemy wszyscy na „Trytwę” na Majówkę? – spytał Zenek.

Wszyscy!

No, Dawida i Kaśkę też weźmiemy. Popijamy świątę, potancujemy – zachęcał.

W ciepłe sobotnie popołudnie pięcioro młodych ludzi szło ulicą Sienkiewicza w kierunku „Trytwy”. Nazywano tak dawną, potocznie wyrobiska rozciągającą się przed Maurycowem, po lewej stronie za ulicą Smigłego Rydza, i po prawej, aż do ulicy Płodzkiej. U „Fasłaka” można było wynająć łódki i kajaki. Kąpieć w sklepiku lemoniadę lub piwo. Można spędzić czas przy melonach lokalnej kapeh. Usiedli przy jednym z wolnych stołów (chłok tańczył w rytm polki dwie pary).

Napierw popływamy, czy napijemy się limonady?" spytał Zenek.

Nie ma na razie łodek. Wszystkie wypożyczone. Napijmy się, zaschło mi w gardle – odpowiedziała Milena. Ciepło dzisiaj, dodała po chwili.

Kasia rozsiadła się wygodnie i odetchnęła głęboko.

Lubię, kiedy jest taka pogoda.

To zmięży ją? – spytał Dawid, spoglądając na niebo.

Tak spokojnie, ciepło i... – przerwała, kiedy Zenek złapał ją pod stołem za rękę.

Teraz lubię taką pogodę – powiedział, patrząc jej prosto w oczy i oczekując jakiejś reakcji z jej strony.

Milena zauważyła zmianę na twarzy koleżanki.

– Co ci się stało?

Nie. Kasia zaczerwieniła się. Napijmy się tej limonady, mnie też zaschło w gardle – dodała.

W tej chwili do stolika podeszła stara Cyganka. Każdego ranka na wiosnę w pobliżu Żelazna Cyganie rozbijali swój obóz.

Powróżyć, powróżyć. Cyganka prawdę powie – zaczęła chrypliwym głosem i chwyciła Milenę za rękę.

Franek spojrzał na starszą kobietę i już miał grzecznie, ale stanowczo ją odprawić, ale Milena powiedziała.

A nie powiesz mi nic złego?

Kobieta spojrzała na nią poważnie i rzekła.

Cyganka prawdę powie. Co widać, to powie. Ty młoda, ładna panienka, ty masz życie przed sobą, ty nie bój się starej Azy.

Milena pokazała dłoń.

Widzę wielką miłość. Przy tobie młodziutki łutry i kocha ciebie, a ty jego. Ciebie dobre i długie życie czeka.

Teraz wróć. Kasia wyciągnęła lewą rękę.

Dobre życie masz pełne miłości. Miłość zostanie, uroda zostanie, ale tęsknota wielka cię czeka.

Tęsknota? – spytała dziewczyna.

Stara Aza kontynuowała przepowiednię.

Ty kochasz chłopca, ale widzę drugiego, on też będzie białym twemu sercu. Ty jego też pokochasz, a serce masz tylko jedno. I kochał los. Wielka żalarka. Oddasz serce jednemu, tęsknie będziesz za drugim. Oddasz drugiemu, snic o pierwszym będziesz.

Kasia coliniła rękę. Nic nie powiedziała.

Teraz chłopaki. Milena chwyciła rękę Dawida.

My? – bronił się Franek.

A co, boję się?

No nie, ale napierw Zenek.

A co? Myślisz, że się będę bał? – Zenek położył rękę na ramię.

– Opanczyk. Delikatna rączka. Życie dostatnie cię czeka, ale tęsknota. Chwazny jesteś. Dla innych wzorem będziesz, oni za tobą pójdą.

Franek. Teraz ty. Kasia spojrzała na siedzącego obok hruta i wsmiechała się do niego delikatnie.

Cyganka spojrzała z bliska na otwartą dłoń chłopaka.

Pracowity i dobry człowiek z ciebie. Miłość ze wszystkich stron cię młacza.

Chciała dodać coś jeszcze, ale zachłycnęła się i zaczęła kaszleć. Zamknęła dłoń Franka i odeszła.

Co jest? Co się stało? – spytał zaskoczony chłopak.

Wszystko mikze! Tak samo, jak on zaskoczony był zachowaniem starej kobiety.

12 maja 1939. Sobota

Czy ja się kiedyś zakocham, tak jak Franek? Pan Bóg nakazał aktorkę, rodziny i mieć dużo dzieci, ale czy będę kochał i czy będę kochany? I czy znajdę kogoś takiego jak Milena?

Ważne jest to, dla kogo się żyje. Franek ma Milenę. Zenek spotyka się z Kasią. Może i na mnie przyjdzie kolej? Mówią, że jedna na świecie prawdziwie kocha. To jak znaleźć tę jedną? Jak ją znaleźć? Mamo?

## Przemówienie Becka

Zenek wszedł do zakładu krawieckiego Berkowicz.

Dzień dobry. Dawid wrócił już z pracy?

A, dzień dobry. Tak, ale pobiegł on jeszcze po kartki i atrament, coś tam ciągle pisze i pisze.

- A co u szanownego pana Pejgi? Jak idą interesy?

- Teraz dobrze, ale kto to wie, jak to kiedyś będzie.

U! wa! W interesach to trzeba wiedzieć, co należy robić za miesiąc albo dwa, co ja mówię. Czasem i rok wcześniej trzeba wiedzieć, co będzie. Mówiłem ci kiedyś, jak to jeden Żyd chciał robić interes, nie mu z tego nie wyszło, bo on nie myślał, co będzie później?

- Nie, chyba nie, panie Berkowic.

No, to wiadysz, żeby zrobić dobry interes, to musi być tak, żeby ten co z nim robił interes, był zadowolony.

Czyli, jak? Przecież wtedy pan traci?

Ty musisz zrobić tak, żeby on myślał, że zrobił dobry interes, no bo jak by był niezadowolony, to on do ciebie nie przyjdzie robić drugi interes. Więc co to by był za interes, robić taki interes?

Zenek uśmiechnął się i zmienił temat rozmowy.

- A, co u pana?

Jakną sobie radzimy. Corzej, co się wokoło dzieje. Hitler ciągle tylko o wojnie myśli, paki wypowiada i niezbyt dobrze o Polsce mówi, a już co ma do nas Żydów, to aż strach słuchać. Armię zbiera. Skuwając sobie podporządkował. Tymy całe za nim, a dumy nie zatrzymasz. Tym nie musi myśleć. Strach, jakie czasy.

Drzwi się otworzyły i do zakładu wszedł klient. Zenek odwrócił się w kierunku wyjścia.

Wyjdę mu naprzeciw. Do Szymańskiego poszedł?

Nie, do Władysławskiego Chama, do artykułów piśmienniczych.

Nowo przybyły interesant zwrócił do Salomona.

Ja do przynajmniej miałem przyjść.

Pruszcz, już biurę masz. To spodnie muszą być, jak pamiętam?

Tak, takie jedne lepsze chciałem.

Materiał ładnego pana, czy mój ma być?

O już niech będzie pana.

Zaraz pokażę. Przedmateriał mam na spodnie, ale najpierw miurę wezmę.

Salomon zabrał się do pracy.

A słyszał pan, panie Berkowic, co to nasz minister Beck przez radio gadał?

Na własne uszy nie słyszałem, ale coś tam wiem.

Mężczyzna mówił dalej.

A dobrze gadał, no bo Hitlerowi to przecież, jak dasz pnieć, to zaraz całą rękę by chciał, więc dobrze gadał. Po skończeniu odwraca się nie da. Przecie wiadomo, że chodzi mu o Łódź i o całe Polskę. Polaków nie lubi, waa, Żydów nienawidzi. Myśl, że panem świata będzie. Wojną straszy, jak nie spełni się jego zadań, ale jak minister Beck mówi „pokój tak, ale nie za wszelką cenę” a honor jest najważniejszy, bezczelny, no to cóż wart jest człowiek bez honoru?

## Wypadek Franka

Życie Franka toczyło się stałym rytmem. Codzienne sprawy polityczne najwięcej czasu, ale myślało też o oderwaniu się choć na chwilę od obowiązków związanych z pracą, od codziennych zmagania z problemami, od szarej rzeczywistości. Można było spędzić czas wolny na łonie przyrody, spotkać się ze znajomymi lub wziąć udział w kulturalnym życiu osady, które kwitło i rozwijało się z dnia na dzień. Szereg kółek teatralnych, chórów, zespołów muzycznych, organizacji charytatywnych za-



chcieli do poszerzania i rozwijania swoich zdolności artystycznych i miłego spędzenia czasu w gronie przyjaciół.

W czeskim ośrodku kultury przy Rynku odbywały się spotkania, podczas których pielęgnowano tradycję, zwyczaj i kulturę czeską. Miłena wracała właśnie z próby chóru, kiedy zobaczyła grupę ludzi zgromadzonych wokół nowo budowanej synagogi. Z drżącym sercem podeszła, żeby zobaczyć, co się stało. Miała złe przeczucia. Przeszła się przez gapiów i stanęła jak kamień na ziemi, w kałuży krwi. Leżał jej ukochany chłopiec. Łzy popłynęły jej po twarzy, ale nie mogła się ruszyć.

- Pewnie nie żyje - powiedziała jakaś kobieta.

Pani! Dopiero co przechodziłam. Patrze a tu leci... i jak lupnął na ziemię, to aż zadrzżało. Dwa kroki przede mną spadł.

- Rozstąpić się! Rozstąpić!

Murarze biegli już ze wszystkich stron, a wśród nich majster Szkuclarek.

Frank! krzyknął i nachylił się nad synem. Jezus Maria! ranek, Franku, dziecko moje.

Doktora! krzyknął ktoś z mężczyzn, po czym zwrócił się do młodego parobka z budowy. A biegni, no, po doktora! Luczyńskiego, szybciej go wezwij. Jezu! Ile krwi! Rozstąpi się ludzkie, przecież zaraz na niego wejdziesz.

- Jest doktor! - zawołał ktoś nagle.

- Akurat przechodziłem. Co się stało?

- Odsuńcie się ludzie, to doktor Misjon.

- Przepraszam. Przepuścić proszę!

- Spadł! odezwały się głosy.

- Z samej góry? Misjon spojrzał na nasłowanie.

- Tak. Będzie z 5-6 metrów.

Wokół zapanała cisza. Ojciec Franka usiadł na leżących obok cegłach i ukrył twarz w dłoniach. Doktor nachylił się nad leżącym chłopcem, podniósł mu powiekę, skontrolował puls. Starannie, ale szybko wykonał różne czynności, po czym wstał i powiedział:

Żyje. Jak najszybciej wezwać karetkę. Potrzebne bandaż, opatrzę mu głowę.

Szkuclarek zerwał się, chwycił doktora za bark i potrząsnął.

Żyje? - spytał, jakby chciał upewnić się, czy się nie przesłyszał.

Tak jest nieprzytomny, ma rozbitą głowę, ale żyje, puls słaby. Może mieć połamane kości, może nawet kręgosłup, a pewnie i wstrząśnienie mózgu.

Ojciec zerwał się ponownie i klęknął przy Franku i złapał go za rękę.

Natwarzajcie się, że żyje. Karetkę! Jak! Do szpitala! Szybko!

Najlepiej, to samemu go zawieźć, bo za nim oni przyjadą, dodał ktoś z obecnych.

Prawda - przytaknęło kilka osób.

I zda siwka są samochody, autobus, ciężarowe. Dwa kręki stąd - poradził ktoś inny.

Szkuclarek przecisnął się między ludźmi i pobiegł do firmy transportowej Siwka i Prusaka. Na samochodzie ciężarowym, jakim na co dzień przewożono gotowy towar z zakłaskich fabryk do Łaski, wynieszczono odpowiednie poślanie, aby jak najszybciej przewieźć chorego przed wstrząsami - zgodnie z zaleceniami doktora Misjona i doktora Luczyńskiego, który wezwany dotarł na miejsce wypadku. Delikatnie przywiązał z największą ostrożnością przemieszł Franka na zdjętych z zawiasów drzwiach do samochodu. Pan Szkuclarek i Zenek, który przybiegł, kiedy dowiedział się o wypadku, ułożywali się obok ranego i pojechali w kierunku szpitala w Łasku.

W szpitalu Frank odzyskał świadomość.

Co się stało? - spytał słabym głosem krzątającej się obok pielęgniarki.

Obudziłeś się. To dobrze. Miałeś wypadek. Byłeś nieprzytomny.



*Autobus z firmy transportowej Prusaka i Sówka 1938 r.*

Ale, co się stało? – spojrzał na gips na nogach

Spadłeś z rusztowania i potarłeś nogi, przeswietlenia ci powstają, zbudali, w gips wsadzili, na szczęście tylko nogi polecieli.

A, to? – dotknął ręką zabandazowanej głowy

Głowę też może rozbiją, ale żadna kość niepoknięta. Zaraz wezwę doktora Balla, on ci wszystko powie

Lubalny jestem, pić mi się chce

Pięknianka uśmiechnęła się

To dobrze, ale najpierw zwołam doktora i powiem twojej rodzinie. Czekają na korytarzu. Dobrze, że tak się skończyło, dodała, bo z początku nie wesoło to wyglądało

## Kurs Obrony Cywilnej

Tego ranka każdy się gdzieś spieszył. Salomon miał do załatwienia sprawy Gminy. Dawid, jak co dzień szedł do pracy, natomiast Sara wybierała się razem z Miriam na zakupy

Dawid. Skończ śniadanie

Wezmę kanapki – zwrócił się w stronę ojca. Tęte. Po pracy pojedę z Kasią Szkodlarków, Zenkiem i jego siostrą do Franka. Osiemnaste urodziny miał niedawno

Nu, jedź. Powiedz ty jemu ode mnie „Mazel tov”<sup>100</sup>

Ode mnie i Miriam też. Prawda, Miriam? – dodała Sara, uśmiechając się do siostrzyczki.

Tęte. Pozdróć Flana – odpowiadała mała.

Wyszli wszyscy razem. Na podwórku czuć było zapach przypalonej awstynki. Młodsze dzieci biegały na boso wokół studni i chlapały się wodą, starsze wychodziły z mieszkań, niosąc na ramieniu związane paskiem książki. Z otwartego na piętrze okna dobiegały odgłosy kłótni. Kibici się kłóć – kto winien, że śniadanie będzie przypalone. Psy ganiały się, wesoło szczekając, a koty leniwie wygrzewały się na dachach w porannym słońcu

Kiedy Dawid wszedł do budynku gminy zauważył, że coś nie działo. Pracownicy byli czymś podekscytowani, żywe gestykulowali i głośno rozmawiali.

Co się stało? – zapytał pana Longina Grodkiewicza.

Dobrze, że już jesteś. Masz dzisiaj trochę więcej pracy – odpowiedział poważnie urzędnik. Pojedziesz z pismem do szkoły na wniosek do pana Mędrzyckiego. Później do Związku Rezerwistów i do komendanta Straży Ogniowej – i do Powiatowego

<sup>100</sup> Mazel tov – pozdrowienie, "szczęście" (267640)

Zwzpunku Strzeleckiego. A! To też pan Mędrzycki - on jest prze-  
sąd. I jeszcze do Polskiej Organizacji Wojskowej do prezesa  
Przepiórkowskiego. A te są do szkół fabryk natomiast te na  
parafie i do waszej gminy. Jak wrócisz, rozwiesz na słupach  
ogłoszenia i plakaty.

Dawid sporządził na liście każdy z nich opreżony był podpisem: „Do ręk własnych”

## Poważna sprawa pomysł!

W siodło na rower już po chwili gnał w kierunku Stronika.

[illegible][illegible]

Sławosław Medrzycki - wysoki przystojny mężczyzna, nauczyciel wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego. Otworzył list i przeczytał

s. 1044 1919 roku Czwartek

14. *Wzrostowe Państwo Stanisława Medyka* (1990)

II oddziału sących trudnych czasów i niepewnej przyszłości.  
~~człowiek~~ z wykształceniem wojewody łódzkiego, pana Henryka Józefowicza, działającego w porozumieniu z wojtą gminy Bujny  
~~z~~ panem Adamem Makiemowiczem, wracam się do  
 i mam jako do usoby posiadającej odpowiednie przyznanie

zezwolenia, o przeprowadzenie Kursu Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Powinny kurs obejmować ma ludność cywilną na terenie obu naszych gmin. Wszelkie osoby niezbędne do pomocy w organizacji kursu, jego przeprowadzeniu w szkołach i klubach i w miejscach publicznych zostały już powiadomione o zaistniałej potrzebie i konieczności udzielenia pełnej wszelkiej pomocy. Odpowiednie zezwolenie otrzymałam w biurku gminy Żelów przy Rynku nr 7, pokój 3. Tamże otrzymałam Pan informację, gdzie były rozlokowane (w razie wojny) punkty medyczne, szpitale, sanitariaty oraz, że jako pan niezbędny sprzęt typu maski przeciwgazowe torby sanitarne itp. Prosimy o niezwłoczne podjęcie odpowiednich działań zmierzających w tym kierunku.

Wojciech Żelów Kazimierz Gul



Kurs Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej 1939 r.



Legitymacja na instruktora Przeprowadzenia Wojdowskiego.



Zespół Wzrostowa grupa młodzieży Instruktor Stanisław Myśliwski





*Żołnierze Strzelców - grupa starsza. Instytut w Szamotach. Młodych tu  
brama. 1939 r. A.*

## Prowokacje

Czasy były niespokojne. Wrzask w całej Europie. Rozszcza-  
nowe piany Hitlera wobec sąsiednich krajów, przejmowanie ko-  
lejnych ziem i wszechobecny antysemityzm nie wrożyły niczego  
dobrego nie tylko dla Żydów i innych mniejszości narodowych,  
ale także dla Polski i Polaków.

Shalom powiedział Naftal Majer wójtacz gminy ży-  
dowskiej, wchodząc do pokoju, w którym siedziało już kilka  
osób. Na burzę się srykując, dodał:

Shalom odpowiedział kilku mężczyznom, a między innymi  
członkowie Rady Gminy Żelów: Jurek Siwek i Jacek Frydman.

O czym to tak wy dyskutujecie? - spytał.

O tym, co piszą. Frydman wskazał leżące na stole gazety.  
Mówisz na burzę się srykując? Może być burza. Zależy, jaką  
masz na myśli.

Marzaniek Śmigły-Rydz Amerykanom wywiadów udziela.  
Stanowczo mówi, że Polska podejmie walkę, nawet gdyby miała  
się biec sama, bez sojuszników. Do ostatniego mężczyzny - do  
ostatniej kobiety mamy walczyć o naszą niepodległość. Tak mo-  
wi.

Majer zamyslił się.

A, co wy na to?

Trudno powiedzieć. Leżeć nie można. Trzeba z pozycji ki-  
nego rozmawiać. Wrócić Siwek. Armię zbierać. Przygotować  
się jak na najgorsze. Wdzieliście, że w Ryńku zbierają na broń  
dla wojska.

Milczący do tej pory Rozenblum wstał, zaczął nerwowo cho-  
dzić po pomieszczeniu.

Ja tam w wojnę nie wierzę. Hitler nie odważy się przeciw  
Angli i Francji wystąpić. A ty Salomon? Co nam powiesz?

Salomon odetchnął głęboko i odrzekł:

Do mnie do zakładu różni ludzie przychodzą, a każdy ma  
swoje odmienne zdanie. Jedni mówią, że wojny nie będzie, inni  
zapasy robią, a tak po prawdzie to Pan Bóg jest Wszechwiedzący  
i on wie, jak to dalej będzie. Gorzej, że są tacy, którzy nienawidzą  
między ludźmi szerzą, a do własnych porachunków wykorzystują.  
Napisał na płotach wdzieliście? „Nie kupuj u Żyda”. W kilku  
miejscach na płotach w Ryńku, dalej na Kosciuszki i na Ka-  
łuski.

Wdzieliście, kto maluje?

Nie. Salomon wzruszył ramionami.

A, co mówią?

Coś tam słyszałem, ale pewność nie mam. Jest kilku takich,  
co podobno skądś przyjechali i ludzi buntują. Szykują się ponoć  
na nowy bój. Listy jakżeś robią.

Rozenblum spoglądał na pozostałych mężczyzn.

Trzeba uważać, co się komu mówi. A spojrzał krzywo, też niebezpiecznie. Nawet stare sąsiedzkie zatargi mogą zaszkodzić.

Może by tak przyuważyć, kto tak smaruje? – wtrącił Freyman.

Będziesz całą nocę przy plotach się chował? I co? Nawet, jak zobaczysz, to co zrobisz? Może ich kilku być i jeszcze pu głowie dostaniesz?

Tu, co rubić? Rozenblum usiadł ponownie przy stole.

Zapadła głęboka cisza. Każdy z obecnych szukał pomysłu na rozwiązanie trudnej sytuacji, ale widac było smutek i przygnębienie na ich twarzach. Po chwili Salomon wstał i powiedział:

Rozmawiajmy się. Już my nic nowego nie wymyślimy, a rano zawsze mądrzejszy jest od wieczora. Porozmawiamy o tym jutro.



David Berkman

Była piękna, sierpniowa noc. Dawid przewracał się w łóżku, boku na bok i nie mógł usnąć. Kiedy zegar na kościelnej wieży wybił pierwszą, wstał i zapalił lampę. Wziął kartki, usiadł przy szeroko otwartym oknie. Spojrzał w górę. Na niebie świeciły tysiące gwiazd. Przypomadał się dłuższą chwilę tej wspartej scenie. Nagle błysnęła iskierka „spadająca gwiazda” – zachwycił się niezauważanym zjawiskiem. „Żebyśmy tak wszyscy zdrowi byli i żeby nie było wojny” – pomyślał życzenia i zaczął pisać.

21 sierpnia 1939 r.

*Przez wieczorem late opowiadał o czym rozmawiali w gm. me i była to przez to nie mogę spać. Przez te napisy, co to ktoś na plotach małyje. Nie kupuj u Żyda. Dlaczego wzywa do memowaci? Przecież my tu wzywaj razem. Prawda, dużo sklepów naszych, ale przecież i polskie, i czeskie i niemieckie. Gdzie to chce to kupić. Tam gdzie mu wygodnie, gdzie dobrze. Tamar ciemu dostanie. To nie mógł być ktoś z lepszych, tu już byłoby od Hitlera wysłani.*

## Mobilizacja

Niemal dwa miesiące spędził Franek w szpitalu. Odwiedzali go rodzina i przyjaciele. Milena spędzała z nim wiele czasu, jeździła do niego dwa, a nieraz trzy razy w tygodniu. Kiedy poczuł się lepiej, zezwolono mu na dalszą kurację w domu. Gips miał być zdjęty dopiero za dwa, trzy miesiące. Tymczasem piękny i opalny sierpień dawał mu się we znaki. Długie leżenie w łóżku, nawet pod najlepszą opieką, nie należy do przyjemności. Gdyby nie najhulski i ukochana dziewczyna, byłoby mu bardzo ciężko. Jedynym rozrywką Franka było przekomarzanie się z rodzinstwem, obieranie kartofli na obiad, słuchanie radia. Pilnie śledził wszystkie informacje dotyczące tego, co dzieje się w Europie.

Wcześniej, nie zajmowały go te sprawy, nie miał pojęcia, o co tak naprawdę chodzi w całym tym politycznym zamieszaniu. Teraz mógł już nie tylko o sporcie, ale także o polityce rozmawiać. Kiedy w Ryńku odbyła się duża manifestacja mieszkańców Żelazna w obronę polskiego morza, rozumił potrzebę jej zorganizowania.



Manifestacja w Ryńku w obronę morza 1939 r.

Wiedział, jak ważny jest dostęp do morza dla takiego kraju, jak Polska. Wiedział też to, że nie możemy, jako kraj, ulec w kwestii Gdańska i Korytarza – czyli oddać część rdzennie polskich ziem, których zdalał od nas III Rzesza.

Dni mijały szybko, aż nadchodził koniec sierpnia 1939 roku. Ojciec Franka wyszedł jak zwykle rano do pracy, ale już po godzinie był z powrotem.

Co się stało? – spytała zdziwiona żona.

Pan Szkułdarek wrócił do pokoju, w którym leżał Franek. Pani Teresa i Kasia poszły za nim.



Frank, Teresio,  
możesz dla mnie zrobić  
zadanie?  
A ja mam tylko  
nieco czasu do domu  
i muszę  
Dziękuję, to już w domu  
mam. W domu jest.

Czy nie reszta dzieci? – spyta?

Na podwórku – odpowiedziała drżącym głosem czując, że za az usłyszy zię wiesci.

Ułożono mobilizację – powiedział suchym, beztętnym tonem. – Wszędzie wieszają plakaty.

Tam Teresa zakryła twarz rękami, usiadła na krześle i zaczęła płakać.

Czyli woma? – spytała Kasia.

Nie Mobilizacja.

Czyli co?

Prezydent Rzeczypospolitej zarządził mobilizację, czyli powołanie do czynnej służby w wojsku wszystkich mężczyzn od 18.

do 40 roku życia i wezwał do bezwzględnego zameldowania się w Rejonowej Komendzie z uzupełnien, odpowiedniej dla miejsca zamieszkania lub zgodnie z kolumną kart – jakie otrzymał wcześniej. Ja jakie karty nie dostałem, więc zgłoszę się do Rejonowej Komendy w Pabianicach.

Dzisiaj? – pani Teresa niemal krzyknęła.

Nie jutro. Pierwszym dniem mobilizacji jest czwartek 31 sierpnia. Na Rynek mają przyjechać autobusy – będą nas po kolei zabierać.

A co ze mną? – spytał Franek.

No, byłeś na komisji w szpitalu, po twoich urazach.

- No tak, ale

Szkolnarek przerwał synowi.



*Plakat o Mobilizacji Powsechnej i strona od Karty Mobilizacyjnej  
Stanisława Młodrekiego*

Mają twoje dokumenty, wiedzą o chorobie dlatego wyznacz ci drugi termin – na stycznia, jak wydobrzejesz.

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi.

- Zenek i Milena – powiedziała Kasia wprowadzając gości do pokoju.

Przyszedłem się pożegnać.

Zenek usiadł na brzegu łóżka obok Franka.

Na wojnę idę.

Pani Teresa spurzała na męża.

A mówileś, że to tylko mobilizacja?

W mobilizacja. Jeszcze żadnej wojny nie ma i może Bóg da żeby nie była. Zenek wstał.

W końcu była to będą walczył o Polskę. O Polskę. O kraj moich przodków i o całą Europę – dodał z dumą.

Franek spojrzał błagalnym wzrokiem na przyjaciela i uśmiechnął się.

Wzmieśz mnie z sobą?

Och, na ten wózek, co to na nim handkowi smy. Pamię-

Przez chwilę zaczął wspominać dawne przygody, mecze na podwórku, przebieg piłkę, wakacje, ziemiankę. Nagle Franek spoważniał.

Jak wydobrzeżę to ci pomogę, boze mnie przecież nie dasz rady wymłuszyć Hitlerowi skóry.

Zabij to wydobrzejesz, to już będzie po Hitlerze. Raz dwa i skończymy. Słyszales przecież. Angli i Francja są z nami. To są potęgi.

Mój ojciec też idzie – odpowiedział Franek – i Maciej z Kasiem, i inne chłopaki. Mietek Kapuściński. Ten, co to na Kubińskiego u Kosika mieszka. Pamiętacie, jaką bramkę kiedyś strzelił?

Franek uniósł się nerwowo na rękach i podciągnął wyżej.

Tylko ja, cholera, leżę!

I dobrze! I nie przeklinaj – wtrącała pani Teresa. To jedno, co dobre w tym nieszczęściu.

Tak, tak. Za młodzi jesteście – dodał pan Ignacy.

Zenek podszedł do Kasi i złapał ją za rękę.

Za kilka miesięcy będę miał dziewiętnaście lat.

Szkudlarek uśmiechnął się i westchnął.

No tak, tak. To nasz obowiązek wobec Ojczyzny. Uważaj tylko chłopcze. Wszyscy uważają. Wojna nie wygląda tak, jak myślisz. Byłem – to wiem, co mówię.

– A, Dawid? – spytał Franek.

Byłem a niego w pracy. Niezły tam teraz rozgardiasz. Ci, co pracują w gminie, to w większości zostają. Na miejscu będą organizować obronę cywilną. Dawida też wpisali na listę i zostaje. Że niby to bardziej się przyda.

Franek przytaknął głową.

Pewnie, że tak. Karabin dla niego za ciężki.

– No, muszę już iść – uściśnięt mocno przyjaciela. Wróć, zanim ci gips zdejmią. Ach! Przyniosłem ci taką książkę „I charakteru dumowa”. Kasia pokrzyła ją w kuchni. Może ci się przyda, poczyta, sobie.

Zenek pożegnał się z panią Teresą i zwrócił się w kierunku jej męża.

– To, co panie Ignacy, pogonimy Hitlera?

Szkudlarek uściśnięt chłopaka „po ojcowsku”. W oku zabłysła mu łza.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Zenuś.

Kasia odprowadziła Zenka na klatkę schodową. Stał się na przeciw siebie. Jej cienie oczy błyszczały od łez. Chłopak objął ją i pocałował.

Nie płacz. Wróć.

Szybko odwrócił się i zbiegł po schodach.

Cześć druga

„A więc wojna...”

Był 1 września 1939 roku. Niebo na horyzoncie powoli przestawało być czarne, a między drzewami, widoczna była jasna poświata. Dookoła słychać było pojedyncze głosy budzących się ze snu ptaków, które z minuty na minutę zmieniały się w gwar codzienny oznajmujący krzątanie ptactwa, które miało swoje sprawy i nie bardzo interesowało się cudzimi. Dzień wstawał okryty porannymi oparami mgły. Po skwarze poprzedniego dnia chłód nocy spowodował, że zieleni pokryta była rosa, której krople widoczne były na każdym źdźbłku trawy, na każdym liście i na delikatnych, pajęczych niciach babiego lata. Białe, zamglone słońce leniwie przechadzało się ze snu. Kryło się jeszcze, jakby bało się tego, co zobaczy. Nad Żelazem nie było chmur, więc poranne promienie z wolna zaczęły wdzierać się przez uchylone okna do domów i do chat, pod dachy i pod streechy rozświetlały ulice i podwórza. Dorosli powoli budzili się ze snu i szykowali do podjęcia codziennych obowiązków.

Dzieci spały jeszcze, ale skończyły się wakacje i czas było iść do szkoły na uczyszcie akademie. W domach na krzesłach, leżały przygotowane, wyprane i wyprasowane mundurki szkolne, a w teściach lub przewiązane paskiem, podręczniki i zeszyty.

Nagle, wczesnym rankiem, rozdzwoniły się kościelne dzwony. Franek obudził się i nasłuchiwał.

Mama, co się dzieje? – zawołał. Do pieruna z tym trzymaj się! – dodał do siebie.

Wziął kule oparte o brzeg łóżka i wolno pokątykał w kierunku okna. Pozostali domownicy także się obudzili. Pani Teresa, pełna złych myśli, wyprzedzała syna i szeroko otworzyła okno wychodzące na ulicę Kilińskiego.

Dzwonią w naszym i w czeskim – powiedziała.



„Co się stało mamo” – pytały dzieci jedno, przez drugie, przepychając się, aby także wyrzec.

Po ulicy, w kierunku Rynku, biegli ludzie. Coś krzyczęli.

Wojna! – dokończyli wreszcie usłyszeć.

To jedno słowo spowodowało, że pani Teresa zrobiła się biała i usunęła się na krzesło.

Cały Rynek wypełnił się zatroskanymi, pełnymi obaw ludźmi.

Wojna! Wojna! – powtarzali jeden do drugiego.

Skąd wiadomo? Czy aby pewna wiadomość – spytał ktoś z nauczycieli, że może to tylko plotka, jakich немало słyszało się wcześniej. Chodzimy do proboszcza. On będzie wiedział najlepiej. machnął ręką na pozostałych ludzi, jakby chciał, żeby poszli za nim.

Na pewno – odpowiedział urzędnik z magistratu. Niestety to nie pułk Niemcy nas zaatakował. Przekroczyli granicę.

Śmigły z tyłu młody człowiek spytał:

Ktoś słuchał radia?

Właśnie! – rzekł nakręcić radio – pułk kilka odpowiedzi.

Chodzimy do księdza proboszcza – powtarzał mężczyzna, który wcześniej rzucił taką propozycję.

Tak – przytaknęło kilka kobiet – każdy dobrodziej ma radio.

Każdego z nich poszło w kierunku kościoła rzymskokatolickiego, do proboszcza Zygmunta Zycha.

Kiedy podszli, zobaczyli tłum ludzi okalających plebanię i w oknie biurowym wystawione na parapiecie radio. Po chwili usłyszał komunikat:

„Halo! Halo! Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dzisiaj rano o godzinie piętej, minut czterdzieści oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc Pakt o Nieagresji.

11. Właśnie! – rzekł nakręcić radio – pułk kilka odpowiedzi.

„Bombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszysz państwo komunikat specjalny.”

Radio zatrzeszczało.

Oczekując dalszych słów spikera, zebrani ludzie wsłuchiwali się w głęboką ciszę, jaka zapadła dookoła, bojąc się głębiej odechnąć. Po chwili ponownie usłyszał słowa płynące z głośnika:

A więc wojna! Z dniem dzisiejszym wszędzie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przedstawiamy na specjalne tory. Wszędzie w okresie wojny, całe życie Narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym. Walka, aż do zwycięstwa!

Proboszcz wyłączył radio. Nastąpiła długa, przejmująca cisza. W końcu każdy z nich oderwał się domowym, ale spokojnym głosem.



Asystent Zygmunta Zycha

Uklękniemy teraz wszyscy i pomódlmy się do najświętszej Marii Panny, patronki naszej, o wstawiennictwo i opiekę. Później rozjeżdżać się do domów, nie mając wiary w waszych sercach, bo nie zginęła Polska, póki my żyjemy.

Po chwili milczenia dodał:

W południe zostanie odprawiona Msza Święta w Ryńku, za ojczyznę naszą umiłowaną i za naszych bliskich, którzy stanęli w jej obronie.

W zatruwanych sercach zelowian pojawiła się iskra nadziei, że może nie będzie tak źle, że z pomocą Boga, wszyscy razem, damy radę. Słowa kapłana wypowiedziane z serca zasilały to ziarno nadziei. Pozostała jednak obawa i strach o zdrowie życia najbliższych, którzy poprzedniego dnia, i dziś, i jutro mieli iść na wojnę.

W pewnej chwili zobaczyli najeżdżające od strony Sromulki karne wozy, które ciągnęły jeden za drugim w dość szybkim tempie jakby przed kłosem, lub przed czymś uciekały. Na nich kobiety, dzieci, mężczyźni. (Bóg nich paki i łobolki, gdzieś gdzie misy, gamki, kierzanki<sup>14</sup>). Wóz za wozem. Końca kolumny nie było widać.

Ludzie, co się stało? Dokąd wy jedziecie? pytania padały ze wszystkich stron.

- Zatrzymajcie się! - kilka osób zastąpiło im drogę.

Jadący w przodzie woźnica gwałtownie ścisnął cugle. Wozy zatrzymały się.

My z Wielunia. Wojna. Miasto do cna zniszczone. Wszystko się pali. Wszystko zburzone. Samoloty przycełały i bomby zrzucały. Pozabijali wszystkich - mówił przerażony.

Kobiety i dzieci szlochały. Ich płacz oddzielił się wszystkim dookoła. Ksiądz Zych, który wszedł zobaczyć co się dzieje, starał się przełkrzyżyć ogólny lament.

Ludzie! Odzaj jedziecie! Odpocznijcie. Dostaniecie jeść i pić. Zajeżdżajcie pod kościół.

Pierwsi uciekinierzy skierali, w kierunku plebanii. Co chwilę dokładali nowe, jadąc od strony Maurycowa i ulicy Kuśnarskiej, od strony Pozłazien. Niektórzy jechał i dalej w kierunku Żelazki, inni przystawali, aby napoje konie przy pompie w Ryńku. Jeszcze niektórzy zakupy w sklepach. Ksiądz Adamczyk, wikariusz parafii, przynosił wodę i pieczywo. Rozdaje je potrzebującym.

I znowu wojna - powiedziała starsza kobieta, ocierając rękawem spódnicę zapłakaną twarz. - Panie Boże! Czy na pewno kiedyś czas, żeby choć jedno pokolenie bez niej żyło.

Wysoki mężczyzna w średnim wieku podszedł do swoich bliskich.

Musimy odpocząć.

Zdjął z wozu kilkuletnie dziecko i przeniósł na rękach, sadząc je na ziemi. Dziewczynka miała nogę w gipsie owiniętym białą, szeroką chustą.

Musi odpocząć - powiedział do księdza.

Ranna? - spytał ksiądz Zych.

Nie, ale prosto ze szpitala. Będzie z miesiąc temu, jak spadła z drabiny i nogę sobie złamała - spojrzał na córkę, która siedziała oparta o drzewo. Doktor powiedział, że nogi nie da się umiować, że trzeba amputować - ale się nie zgodziłem. Wczoraj zabrakło mi do domu i chwatał Bogu, dzisiaj jedwie z życiem uwrótemy. W parciu u nas w Wieluniu targ. Ja handluję kierzankami, łanami, sznami i takimi tam do gospodarstw różnymi sprzętami. Staniem jeszcze w noc, żeby dogodne miejsce zająć. Jeszcze było ciemno, jak zaczęły się zjeżdżać chłipskie furmanki, a kiedy zaczęło świtać, zawył miejska syrena. Myślałem, że to ćwiczenia, bo już bywało, ale zobaczyłem samoloty. Obłeciały nad miastem, później kot złyły i słychać było świst okrutny i wybuch. Pył prze-

<sup>14</sup> Kierzanka - drewniane naczynie słupkowe do nabycia masła.

stał wszystko, a szyć z okien powlatawały. Schowali się wszyscy pod wozy. Dobrze, że konie były wyprzęgnięte i przy drzewach stały powiązane, bo tak dłużej stawały, że pewnie by poniosły. Znowu pokazały się niemieckie samoloty i rzuciły bomby na budynek mieszkalny. Zebrałem, co się dało i popędziłem zabrac rodzinę. Ledwie ześmy odjechali, już pocisk trafił prosto w nasz dom. Zmiotł go do szczętu.

Jechał smy szosą na Piotrków. Po drodze widziałem nasz szpital. Wszystko w gruzach. Przy szpitalu, na drzewach, wisiały ciała martwych ludzi. Matko Bosko, dziękuję tobie, że kazałaś matce wczoraj to dziecko zabnąć. I znowu po bombowych, nadleciały myśliwce i do bezbronnych kobiet, dzieci i starców mężczyzn ukrył twarz w dłoniach, ale po chwili mówił dalej. Na ulicach też był zabici i ranni. Panika i popłoch w całym mieście. Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach i pieszo, i na furmankach, nawet w samą, hieliznie uciekali. Widziałem, jak rowertami jechali z tobołkami na piecach. Głównie na Brzeziny na Warszawę wszyscy uciekali. Czemu tam? Nie wiem. My też na ciepło jechaliśmy, było dalej od pewnej śmierci. Chyba do brata pojedziemy, do Ciołka, no bo gdzie?

O dwunastej zebrali się w Ryńku mieszkańcy Żelowa, którzy chcieli uczestniczyć we Mszy Świętej odprawianej przez proboszcza parafii rzymskokatolickiej. Z przyległych do osady wsi zjechali z całym rodzinami okoliczni chłopcy. Wszyscy z powagą i spokojem wsłuchiwali się w słowa liturgii. Razem modlili się i prosili Boga o pomoc.

Modlimy się za Ojczyznę naszą, kraj przodków naszych. Modlimy się za obrońców naszych, naszych mężów, braci i synów, aby zdrowi i cali do nas powrócili. Modlimy się o to, aby podstępny i zdradziecki Niemiec nie zniszczył Narodu Polskiego.

Wysłuchaj nas Panie – odpowiadali werni.

Na koniec rozbrzmiały słowa pieśni, która w trudnych chwilach jednoczy Polaków: dodaje siłę i wiary, że jesteśmy zważy, gotowi, że będziemy bronić ojczyzny i honoru polskiego żołnierza.

„Nie czułem ziemi, skąd nasz ród. Nie damy by nas gnębił wrogi! Dużej ostatniej kropli z żył bronić będziemy ducha, aż się rozpadnie w proch i w pył krzyżacka zawierucha. Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!”

Po nabożeństwie Teresa Szkularek podeszła razem z dziećmi do brata i bratowej, którzy przyjechali do Żelowa furmanką. Przywitała się bez słów i ze łzami w oczach. Rozjeżdżała się wokół, jakby kogoś szukała.

Ojciec i matka w domu zostali – powiedział Bolesław, wypredzając jej pytanie. My po was przyjechaliśmy do sklepu. Nałóż trzeba kupić, świece, kaszy, większą ilość no – inne potrzebne rzeczy.

Teresa zalamana ręce.

Jak ja mam to wszystko zostawić? Przecież okradną w taki czas. Sami, jasno macie gdzie jechać my? – dodała. A jeszcze Franek... Nie, nie pojedziemy.

Susana objęła szwagierkę, a próbując namówić ją do zmiany decyzji, powiedziała:

Może nie będzie tak źle, ale na wsi zawsze bezpieczniej wam będzie niż tu. Nie słyszałaś, co się w Wieroniu stało?

Szcularkowa zawałała się przez chwilę.

Jak będzie źle, to wyślę do ciebie Kaszę z dziećmi – powiedziała, patrząc na brata. – bo Franek to by musiał na wozie kupować, co musicie. Tylko szybko, bo widziałeś, co się dzieje przed sklepami. Niedługo nigdzie nie będzie towaru. Ja już rano kupiłam, co trzeba i zapasy zrobiłam. Także z myślą o was, bo nie wiedziałam, czy przyjedziecie, więc co nieco dla was też mam. A kaszy to kupcie prosto z kaszarni od Wójmana. Worek, czy dwa, to wam sprzeda. Zawsze ma coś więcej w magazynie.

Przecież wiesz Bolek gdzie. Na Kilińskiego, pod 19-tym. Powiedźcie Wejmanowej, że jesteście ze mną rodziną. To moja dobra koleżanka, na pewno wam drogo nie sprzeda. I powiedz jej, że jeszcze dzisiaj do niej zajrzę.

- Zastanów się jeszcze, Tereniu - prosiła zmartwiona Baczmagowa, wsiadając na wóz.

- Nie nam nie będzie. Nie martwcie się o nas.

Franek wysłuchiwał odprawionej w Rynku mszy, siedząc w domu przy otwartym oknie. Nie widział stamtąd ołtarza, ale słyszał śpiew zebranych wiernych. Modlił się gorliwie za ojca, kuzynów - Mateusza i Karola... i za Zenka, za wszystkich bliskich i znajomych, którzy pojechali bronić ojczyzny. Kiedy wrócili pozostali domownicy, zapytał:

- I co będzie, mamo?

Matka objęła syna i przytuliła. Po chwili zwróciła się do najstarszej córki.

- Weź córecia dzieci i zajmij je czymś. Na dwór niech nie wychodzą.

Kiedy zostali sami, spojrzała Frankowi prosto w oczy.

- Jesteś już duży... i ty i Kasia powinniście wiedzieć, że różnie może być... Ale będziemy się trzymać razem. Przygotujemy się, jak na najgorsze, chociaż na pewno nic złego się nie stanie. Mamy trochę gotówki i moją biżuterię, i futro. Musimy to tylko dobrze schować i jakoś przeczekać. Jak Bóg da, to wcale wojny nie zobaczymy. Za ojca będziemy się modlić i jestem pewna, że szybko i zdrowy do nas wróci, a gdyby się coś działo, to zawsze możemy do dziadków, do Bujen. Ciocia z wujem chcieli nas zabrać już dzisiaj, ale postanowiłam, że zostaniemy w Żelowie.

Franek pocałował mamę w rękę.

- Dobrze mamo zrobiłaś, dobrze. A twoją biżuterię, to możemy w pokoju, w lufcie schować. Tam jest taka dziura od środka, bo kiedyś wyjąłem kawałek cegły, jak się rękę głęboko włoży i da w prawo, to się ją wyczuje. Miałem tam kiedyś swoje skarby

schowane - uśmiechnął się do matki, a ona potargala mu lekko włosy na głowie.

- Skarby? - powiedziała z uśmiechem. - A dziurę w ścianie, to ładnie robić?

Tego dnia wszyscy pracownicy żelowskiego Urzędu Gminy postawieni byli w stan gotowości już o piątej rano. W sąsiednim Posterunku Policji policjanci dyżurowali od dnia ogłoszenia mobilizacji. Zgodnie z przyjętymi wcześniej wytycznymi i poczynionymi przygotowaniami organizowana była obrona cywilów w przypadku naku bombowego. Pomagali w tym członkowie Związku Rezerwistów RP. Stanowiska Ciężkich Karabinów Maszynowych ustawione były na dachach budynków: szkoły numer 1 i na budynku Kosika, przy ulicy Kilińskiego 26. W gotowości była Straż Ogniowa. Pozyskano i wyposażono dodatkowy samochód, aby można było prowadzić akcje gaśnicze jednocześnie w dwóch miejscach. Dawid dwoił się i troił, by dostarczyć we wskazane miejsca przygotowane pisma. Po południu z pomocą kilku chłopców rozwiesił na słupach i płotach Orędzie Prezydenta II Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, do Narodu Polskiego.

„Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego... Zwracam się do wszystkich obywateli państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały Naród w obronie swojej wolności, niepodległości, honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i Sił Zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi... cały Naród Polski pobłogosławiony przez Boga w walce o swoją świętą i słuszną sprawę - zjednoczony z armią pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa”.

Drugi dzień września był kolejnym, w którym mieszkańcy osady i okolic szykowali się do wojny. Większość towarów ze sklepowych półek wykupiono już poprzedniego dnia, a w niektórych sklepach otwartych w sobotę robili zakupy, przejeżdżający ciągle przez Żelów uciekinierzy z Wielunia i jego okolic.



Do wyjazdu szykowali się także niektórzy Żelowianie. Pakowali swoje dobra, wsiadali na wozy i jechali do rodzin, na wieś lub dalej – w kierunku Brzezina, Warszawy i wschodnich ziem polskich. Cały czas podawano przez radio informacje o tym, co dzieje się na froncie. W lokalnej prasie informowano obywateli o sposobach ochrony przed naktami bombowymi i atakami gazowymi. Proszono o unikanie paniki i o przygotowanie zapasów wody, środków opatrunkowych i żywności. Nakazywano zaklejenie okien taśmami, żeby szyby nie wylatywały i spadające odłamki nikogo nie pokaleczyły. Informowano o obowiązku obrony ojczyzny i wstępowania do Armii. Na pierwszej stronie gazet wydrukowano odezwę Zarządu i Rady Naczelnej Rabinów Rzeczypospolitej Polskiej.

„Bracia w Izraelu, Obywatele Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej! Odwieczny wróg napadł w niecny, nikczemny sposób na naszą tak gorąco przez nas umiłowaną Ojczyznę, Polskę. Wyzuty dosłownie z czci, wiary i wszelkich uczuć ludzkich, niesie on mord, rabunek i pożogę. My Żydzi, dzieci tej ziemi od zamierzchłych czasów, stajemy wszyscy w karnym ordynku, zwarei i opanowani, na wezwanie pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza, aby bronić naszej ukochanej Ojczyzny, każdy na wyznaczonym mu przez władze posterunku i oddamy, gdy zajdzie tego potrzeba, na ołtarzu Ojczyzny, nasze życie i nasze mienie bez reszty...”



– Czytałeś odezwę, tate? – spytał Dawid podczas obiadu, na który wpadł podczas krótkiej przerwy w pracy.

Salomon nie odpowiedział, jadł dalej.

– Tate! Czytałeś?

– Czytałem – rzekł ojciec, przerywając posiłek.

Wyczuwał w tonie głosu syna jego kolejne pytanie.

– Na, przecież nie zostawię was samych. I tobie symi też niech nie przyjdzie do głowy iść na wojnę. Wiesz ty przecież, że tu jesteś potrzebny. Kto by za ciebie latał z piśmami – wykrzywił usta, udając uśmiech. – I ja też mam tu w Gminie dużo roboty. Wiesz, ile jest naszych w Żelowie. Sami my musimy się o siebie zatroszczyć.

Chłopak spojrział pytająco na Sarę.

– Posłuchaj tate. Ma rację – powiedziała.

Dawid machnął ręką i podnosząc głos, powiedział.

– Zenek poszedł, Mateusz i Karol – kuzyni Franka, tata Franka, i kuzyn Herek poszedł, i od Goldmana chłopaki, i ... Wszyscy walczą, tylko nie my – odwrócił się i pośpiesznie wyszedł z mieszkania.

W sobotę po południu Szkudlarkowa zabrała córki i poszły do Wejmanów.

– Czekalam wczoraj – powiedziała Maria Wejman, otwierając im drzwi.

– Tak Marysia, miałam przyjść wczoraj, przepraszam cię kochana, ale inne sprawy nie pozwoliły – Teresa pocałowała gospodynię w policzek na przywitanie, po czym zwróciła się do dzieci.

– Idźcie do Jasi.

– Tak – dodała jej matka – idźcie do ich pokoju. Jest Złutek i Zygmunt, przyszła Lucynka Ulańskich i Helena Pełgów i Zosia Graczyk z Janeczką Topolską, pobawcie się czymś.

Po pewnym czasie do kuchni wszedł mąż pani Marii, właściciel domu, pan Adam Wejman. Człowiek średniego wzrostu, w białej płóciennej koszuli i oficerskich butach.



Adam Wejman

- Dzień dobry - powiedział od progu.
- Nie wiem, czy taki dobry, Adamie? - Teresa podeszła i przywitała się ze znajomym.
- Prawda, prawda. Co to ja miałem ... - podrapał się w głowę.
- A! Już wiem. Marysiu - zwrócił się do żony - idź no do dzieci i przycisz im tego grajka, albo wyłącz, bo już sąsiad mi mówił, że wojna, a u nas muzyka leci, że nie wypada, że gdyby nas nie znał, to pomyślałby sobie, że się z tego cieszymy.
- Pani Wejman załamała ręce.
- Jezus Maria! Prawda. Nawet przez myśl mi nie przeszło. To przecież tylko dzieci. Patefon nastawiły i płyt słuchają. Co one tam rozumieją, że wojna. Ale, prawda. Już idę.
- Pan Adam zasiadł przy stole i zwrócił się do gości.
- No, to znów ciężkie czasy idą. Kto wie, co to teraz będzie? Po chwili dodał:

- Ignacy poszedł?
- Ano, poszedł - odpowiedziała cicho Szkudlarkowa.
- Dacie sobie radę? Bo jakby co, to na nas zawsze możecie liczyć.
- Dziękuję ci - odpowiedziała Teresa.
- A, jak Franek? - Adam zmienił temat rozmowy.
- Za miesiąc gips mają mu zdjąć i zobaczymy. Mówił doktor, że od razu to nie będzie chodził, bo trzeba osłabione mięśnie wyćwiczyć, a tak, to nieźle. Milenka go odwiedza i koledzy - prze-rwała na chwilę - Zenek Pejgów też poszedł. Na ochotnika się zgłosił. W tym Frankowym nieszczęściu, to chociaż to dobre, że o niego nie muszę się martwić, bo by z ojcem razem...
- Tak... - zadumał się pan Adam. - Nasz sąsiad z naprzeciwka też poszedł na ochotnika. W wielu rodzinach teraz mężczyźni brakuje. Golezyk, mój lokator, ten, co w gminie pracuje, mówił, że poszli przede wszystkim ci, którzy dostali karty, ale nie brakowało także ochotników, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn. Zapasy jakieś macie porobione? Może ci gryki trzeba? Ludzie teraz wszędzie się przygotowują, całe beczki nafty zakopują do ziemi, żeby był zapas i od zaprószenia ognia ochronić - wyjaśnił.
- Sól, kaszę, karbid, świece wykupują, wszystko co może być potrzebne, a się nie psuje. Mięso też pekują w beczki i do ziemi. Sam wczoraj świniaka oporządziłem, zimną w ziemi się nie zepsuje. Co cenniejsze rzeczy po różnych skrytkach chowają. Sąsiad mi mówił, że swój Virtuti, który dostał za wojnę bolszewicką w ścianie замуrował. Toż samo z obrączkami i pierścionkami robią. Pieniądz traci na wartości z dnia, na dzień. Kasę Stefczyka Zdziechowski zamknął. Bank zamknięty. A nie myślałaś, by do rodziny na wieś jechać, bo wielu wyjeżdża. Bombardowania się boją.

- Teresa dotknęła oburącz ręki przyjaciela.
- Bóg ci zapłać za troskę. Już wczoraj brat z bratową po nas byli, ale póki co nie mogą zostawić wszystkiego samopas.



Jak Bóg da, to wszystko szybko się zakończy i będziemy znowu śmiać się i radować.

– No, w razie byliby gorzej, to ja też przygotowany jestem na wyjazd. Życie to cenna rzecz, trzeba je ratować, jak się da, i swoje, i cudze.

W niedzielny ranek wszędzie było cicho i spokojnie, a słońce grzało tak mocno, jakby to był sam środek lata. Gdyby nie wiadomości i zdarzenia ostatnich dwóch dni, nikt w Żelowie nie domyślałby się nawet, że trwa wojna. Co prawda było powszechne oczekiwanie – „co będzie dalej?” – Ale po komunikacie podanym przez radio o przystąpieniu do wojny naszych sojuszników, panowało ogólne przekonanie, że wszystko będzie dobrze.

„No, to teraz Anglicy i Francuzi rozprawią się Hitlerem” – powtarzano głośno. „Jeszcze kilka dni i będzie po nim”. „Wojna potrwa najdłużej dwa, trzy tygodnie” – twierdzili „znawcy polityki” rozgłaszając swoje teorie każdemu, kogo spotkali na ulicy.

Koło południa nastroje ponownie uległy zmianie. Nad Żelowem, wysoko na niebie, pojawiły się lecące w szyku samoloty. Bombowce zbliżały się wraz z przytłumionym, złowrogim pomrukiem. Zrzucą bomby, czy nie? – zastanawiali się wszyscy, obawiając się najgorszego scenariusza. Na szczęście zagrożenie minęło. Samoloty poleciały dalej. Inni nie mieli tego szczęścia. Bomby spadły gdzie indziej, na polskie miasta i wsie, zabijając wiele ludzkich istnień, niszcząc dorobek życia mieszkańców polskiej ziemi.

I znowu w Żelowie pojawiły się wozy, jechało ich coraz więcej i więcej.

– Szczerców się pali – krzyczeli ci, którzy już zaciągnęli języka.

Niektórzy mieszkańcy pobliskiego Szczercowa zatrzymywali się u rodzin w Żelowie. Zwłaszcza wiele rodzin żydowskich miało tu swoich bliskich. Żelowscy Żydzi przyjmowali ich u siebie

w domach. Władze kahalu umieszczały ich we wszystkich możliwych do zamieszkania miejscach. Przejściowo, nawet nowo budowaną synagogę stała się mieszkaniem dla uciekinierów – córek i synów Abrahama.

U Berkowiców zatrzymali się sąsiedzi z czasów, kiedy Berkowice mieszkali w Szczercowie – Michał Łaznowski razem z żoną i dziećmi – czteroletnim Abramkiem i nieco starszą – Chaną.

– U was w Żelowie będziemy bezpieczni – powiedział Michał, młody, wysoki mężczyzna o ciemnej karnacji i kruczoczarnych włosach.

– Dlaczego tak myślicie? – spytał gospodarz.

– Wy żyjecie od lat z Niemcami i Czechami. Wam krzywdy nie robią.

– Na, może masz rację – powiedział Salomon i zwrócił się do syna.

– Spójrz Dawid na Niemców, oni spokojnie siedzą: Gicel, Lange, Lusz, Dragling, nasz sąsiad – szewc Kelma, felczer<sup>88</sup> Zielke, piekarnik Gleizer i wielu innych.

– Ale tato, tylu ludzi chce wyjechać – Dawid miał wątpliwości.

– Nie będziemy nigdzie wyjeżdżać. Damy sobie radę synu, a „Poszukujący chały, może stracić cały chleb”.

Drugą, dużą grupę uchodźców stanowili Polacy. Zatrzymali się w Ryńku i na poboczach głównych ulic. Pożywiali się i polili konie. Mieszkańcy osady znów przyszedli z pomocą, przynosząc chleb i wodę do picia. Zatrudnieni żelowianie pomagali rodzinom i obcym, słuchali opowieści zdruzgotanych, zapłakanych ludzi.

– Niemcy podpalili nasze domy, strzelali do ludzi, wrzucali granaty do mieszkań... Nie ma już Szczercowa. Spaliło się wszystko – szlochała siedząca na wozie starsza kobieta.

<sup>88</sup> Felczer – zawód pomocniczy sprawniejszy do świadczenia pomocy medycznej.